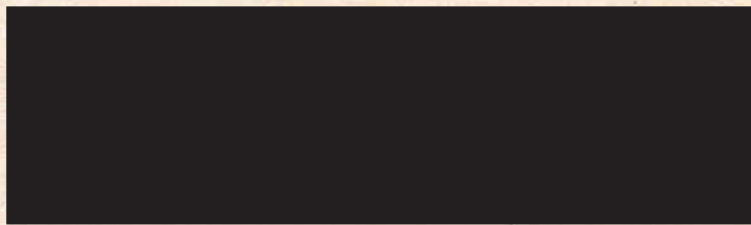


Vlogr

AM



Mr. G S A ; Mrs .  
| | |

41 98

Do nas pierwszy dwiasto dniem ujrzałem 23 kwietnia 1940 r. we wsi wielickiej woj. łódzkiego. Był to okres wojny. W mojej pamięci pozostały nglisze i jakże dalekie obrazy mego dzieciństwa. Mimo to do dziś gdy zamknę oczy, przesuwa się obrazy tamtych dni. Mimo 25 lat, obrazy te rysują się bardzo ostro. Najpierw potworny huk, aż ściana drżała, trwało to kilka minut, a zdawało się że wielki. Potem uciekaliśmy schronami za stodołę. W końcu zajęchały czołgi i samochody. Mimo mego młodego wieku wiedziałem, że to inne wojsko. Jakże ono będzie? Wyśledziły pierwi. Oni ku naszemu zdziwieniu brali nas na rękę i coś mówili, tylko że nic nie rozumieliśmy. Dali nam cukierki i znajomość została zawarta. To byli żołnierze Armii Radzieckiej - wyzwolicieli naszego ziem. Obraz ten wstąpił się w moją pamięć.

... W 1958 roku mając 18 lat ukończyłem Średnią Szkołę Metalową w Wierusowie woj. łódzkie. Wyrużyłem w ówczesnym dwunastym w/w szkole, dyplom oświatowy i tylko odzież na sobie z podartymi butami. Tak zaczynałem życie samodzielne.

Pierwszym i następnym mego życia losami byłem rzucony po Ziemiach Dnia skanych.



Najpierw będąc jeszcze w metalowce" w 1957 roku wakacje spędziłem w Glinnej, pow. Wryfins. Potem, po skończeniu zawodówki, zacząłem od PGR-u w Brzezinkach pow. Wokoszyńskiego. Dalej losy skierowały mnie do "Aciborza i Kehrza. Był to kopalnia Jelca i kopalnia Ghorzów. A potem z powrotem PGR Glinna i Płonie w "Wryfińskim, gdzie od 1962 roku mieszkałem i pracuję w Szaszczyńskim Przedsiębiorstwie Przemysłu Maszynowego Leśnictwa - jako brygadziasta - ślusarz. Posiadam rodzinę - żonę i dwie córki/6 i 4 lata/. Posiadam mieszkanie nakładowe /3 pokoje, kuchnia i łazienka/. I jak to w życiu bywa posiadam przyjaciół i wrogów. Chcuję z różnymi ludźmi, którzy cieszą się, gdy mi czegoś brak, a samorzeczne gdy imnie dobrze. Ale wróćmy do mojego pierwszego zarobkowego wyjazdu.

Był koniec czerwca 1957 roku. Z walizką w rękę rozpocząłem pierwszy wyjazd zarobkowy. Był to w ogóle mój pierwszy wyjazd na własną rękę. Pamiętam, że już w Poznaniu ogarnęło mnie dziwne uczucie. To prosta jak każdego przed podróżą. Uświadomiłem sobie, że jadę w dalekie strony, pozostawiając dom rodzinny. I jeszcze ta wroga propaganda o Ziemiach Odzyskanych, że to niemieckie, że strach, że potem wysiedlą. Ogarnęło mnie przynajmniej. Poczułem wewnętrzny strach. Ale opamiętałem się. Czego wreszcie się obawiać? Przecież to nasze stare ziemie. Tam jest mój brat, są Polacy. Więc myślę sobie - J [ ] głowa do góry. W Szaszczyńsku-Dąbiu byłem około 4 godziny rano. Do odejścia MKB-u pozostało parę godzin. Wybrałem się na miejsce z nadzieją, że znajdę drogę i na pewno dojdę. Idąc tak zawązowałem się do Podjuch i stwierdziłem, że nie ma sensu iść dalej. Szczyśliwie trafiłem powrotem na awans i poinformowany przez kolejarza, który również jechał z pracy do stacji Czarnowa - znalazłem się w autobusie. Był inny, niż te które kursują obecnie po naszych drogach. "wali go "karnikiem". W Czarnowie ten sam kolejarz poinformował mnie jak mam iść do Glinnej. To tylko 4 km. Cóż to znaczyło na moje słabe nogi. W dodatku droga twarda i asfalt. Do

kilometry, które odmierzałem w centrali to się liczyły: 16 km do miasta powiatowego w jedną stronę, 9 km do stacji kolejowej i 9 do kościoła. Minąwszy w połowie las zobaczyłem w odzali zabudowania Glinnej. Było gorące letnie popołudnie. Wieś na pierwsze wejście zrobiła na mnie miłe wrażenie. Płkne domy, wszystkie pod dachówką, dobra droga, dużo drzew owocowych. Właśnie na podwórzu miejscowego PGR-u rozdzielano roboty. Ja ze swoją walizką stałem się obiektem obserwacji. Brat postanowił zmienić mój wygląd: zmienił mój kształt obciąć moje długie włosy. Wieczorem, gdy wyszedłem na boisko sportowe, to nie wiele już różniłem się od miejscowej młodzieży. Zostałem tu na dwa miesiące i pracowałem w PGR. Poznałem ludzi, obyczaj. Stwierdziłem, że rodzi się bardzo dużo dzieci, po prostu co rok to prorok. Rodziny w zasadzie miały po 3-5 dzieci. Dużo było "na sezonie" chłopaków ze Śląska. Dużo było to, że zostawili ciarne oszczędzić kopali i przyjechali tutaj. Co ich ciągnęło? Natrójny zarobek, czyste powietrze, a najważniejsze to "potrzeba" - nawiali. Byli z tego powodu zadowoleni. Postanowili po sezonie zaangażować się na stażach pracowników: tu założyciel rodziny, wprowadzić swoją obyczaj i dołączyli do tworzenia nowego społeczeństwa. A miesiąc dodać, że była to sieranina. Ci z Płockiego i Kieleckiego pozostawili morgę, a może dwie i więcej biedoczenia w ciasnym obracowanych podwórkach swej małej gospodarki. Nie chcieli osiedlić się morgów na ich 3 rodzinie. Tak było na przykład u nas. Koleliński tutaj osiedlać, jako, że o zarobek łatwo, ziemia bardzo dobra i urodzajna, lasy naokoło. Już nie będzie się ściółka palić, czy liśćmi, tutaj opaku pełno. Waższe bukowe i to nie się chce. Punkt dobry, sosy, peknes na miejscu, oklep. Nie to co w "centrali". Tak samo myśleli i inni. Ci z Płockiego również z przeludnionych wsi przyjeżdżali tutaj i zostawali, ściągali rodziny, znajomych. Jak wspominałem byli Śląscy, byli ma Duga i inni. Każdy przyniósł swój system ubierania się, swoje wierzenia,



swoją wiarę i swoje obyczaje. Nieważne było staro na tle religii czy ubioru. Po prostu połączyli się. Powstało nowe stowarzyszenie społeczne. Powstało coś w rodzaju esperanta. Nikt z zamieszkałych tutaj w zasadzie nie wygłaszał wniosków, że zniechęca się, czy że jest inaczej niż w jego rodzinnej wiosce. W pierwszą niedzielę, jak przystało wybraliśmy się do kościoła. Świerdziliśmy, że bliskości było tylko parę osób i to w szczególności starych kobiet, które podtrzymywały tradycję. Natomiast z młodzieżą nie było widać. Brat powiedział, że tak jest stale, że młodzież chętnie garnie się na zabawy, do gry, niż do kościoła. Po południu stwierdziliśmy, że stary mieszkańcy odwiedzają się. Siedzą na przydomowych ławkach, skwerach i gawędzą. Opowiadają stare dzieje, jak to było u nich co posiadali, co robili. Natomiast młodzież parami i grupkami szła do pobliskiego jeziora. Tam kapali się, śpiewy trwały do późnych godzin wieczornych. Później cała farajna wracano do domu. Pierwszą dni poświęcałem swiadectwu ewangelii. Od czasu poczułem sympatię do tej miejscowości. "Pracowałem" się w nią. Uważałem, że kołomyżki się nie chciało mi się wracać. Jednak obowiązki wzywają mnie. Ojczajczym. Już kurniki nie marowały. Szedł cały autobus dwa miesiące i już zniknęła.

Po rocznym pobycie w szkole i ukończeniu jej z wynikiem bardzo dobrym wyruszyłem już na stałe do pracy. Wdy wyruszałem miałem ponad setkę złotych w kieszeni. Coś z tym można się latami kłócić nie dali, bo może nie mieli, a może nie chcieli dać. Nie chcieli żebyś chodził do szkoły, należał do narciarstwa; chcieli żebyś pozostał na gospodarce, na której miała chęć i moja siostra. Nie poznałem rodziców. Wyjechałem tym razem w Opole, zamieszkałem po drodze o wsi Brzezinki, około Soleczyna. Pracowałem tam i miesiąc. Byli tam też kłódky z mojej wioski. Mieszkałem w czwórce, na poddaszu w pałacu. Warunki obojętne były bardzo niekorzystne. Wylądował się pod pompą na podwórzu. Pomieszczenia bruno. Mieszkała w ogóle

nie szieniana. Kierownik POK-u o te sprawy nie dbał. Ludność wie-  
ski nastawiona była wrogo wobec mieszkańców POK-u. Były ostatnie  
bójki, natargi.

Po miesiącu, mając już trochę pieniędzy wyruszyłem do Kaci-  
borza. Tam również pracowali znajomi w ukrowni. Zarabiałem się w  
grupach swoich znajomych, sąsiadów i kolegów. To już było coś.  
Dobre miasto, piękne. Składałem prążyty do pracy w Ukrowni. Odbywa-  
ły się w tym czasie obchody 900-lecia Kaciborza. Miasto przybrało  
odświęty wygląd. Ukrorowano je tysiącami flag. Przy wlotach ulic  
wisiły rozmaite transparenty informujące i zapraszające każdego  
do udziału w uroczystościach. Odbywało się dużo zabaw, występów  
zespołów artystycznych, zawodów sportowych. Kulminacyjnym punktem  
była niedziela - dzień zakończenia uroczystości. Wano o godz. 10  
odbyło się ogólne spotkanie ludności z władzami. Pożyłowały tysiące  
baloników w powietrzu, wzbite się dużą gółąbi, a wieczorem illumi-  
nacja ogni sztucznych. To było całkiem. Nigdy jeszcze tego nie wi-  
działem.

Potem nastąpiły dni codziennej, gwałtownej pracy, z równoczesnym  
zwiedzaniem miasta. W pierwszej chwili miasto, mimo ogromnej wris-  
sion mieszkało mnie. To było duże miasto, nie to co Lututów czy  
Wieruszów. Początkowo ograniczyłem się do obchodu kilku najbliższych  
ulic, gdyż bałem się zagubić. Później chodziłem coraz dalej. Myśla-  
łem że kasy tak robi w nowych miejscach zamieszkania.

Ody ruszyły pierwsze baraki - przyjechały ekipy sezonowe. Z  
mojej i sąsiednich wiosek przybyło 70-ciu mężczyzn i 30 kobiet. Był  
wśród nich mój ojciec, kuzyn i kuzynka. Stało się wówczas wesoło.  
Z niecierpliwością oczekiwaliśmy rozruchu fabryki. Wareszcie po-  
szła pierwsza i następne - całe tony. Ale na biały kryształ nadzie-  
liamy jeszcze czekać. Dopiero następnego dnia zaczęły napelniać  
się pierwsze worki. Jedliśmy go dużo tylko przez parę dni, potem  
nie można było na cukierni patrzeć. Jak to pięknie było. Worki jeden



na drugim - równiutko, po tańcie szły do magazynu, a tam spirala  
na dół. Potem były ostaplowane. Codziennie nataple powiększały się.  
Masę cukru szło na eksport, w 100 kg jutowych workach. To bezpośred-  
nio rynną spuszczano do wagonów. Praca moja polegała na dogląda-  
niu maszyn. Było masę różnych agregatów i urządzeń. Wszystkie mu-  
siałem obejść, sprawdzić. Gdy grało - nie było roboty. Bywało, że  
i cała salina nie się nie robiło. A bywało, że robiło się 16-20  
godzin na dobę. Nie wolno było dopuścić do przerwania, do zatrzy-  
mania produkcji. Groziło to stratami. Stopniowo nasza więź z lu-  
dźmi polepszała się. Zsywaliśmy się z nimi. Pracowało też kilka  
dziesiąt kobiet na naszym wydziale. Pełniły funkcje pakowaczek i  
obsługi pakowni. Ubrane były w białe fartuchy i białe chusteczki.  
Wyglądały jak sanitariuszki. Większość z nich była zamężna z czegoś  
wreszcie my kawalerowie nie byliśmy sadowoleni. Z jedną z pracobni-  
czek zamierzałem najchętniej. Praktycznie po wyjściu z pracy nie było co  
robić. Szło się na miasto, do kina, czy głazie do fabrycznego klub-  
u, na telewizor do Fabryki Kotłowej, bo przy Cukrowni klub taki nie  
istniał. Dni mijaly bardzo szybko. Wieczory otwalały się coraz dłuż-  
sze. Zorganizowaliśmy się w kilka par i chodziliśmy razem. A trze-  
ba dodać, że wieczorem na ulicach nie było zbyt bezpiecznie. Ludno-  
ść tutaj była głównie pochodzenia niemieckiego. Najliczniejszą  
grupę tworzyła ludność zaa Bugu - osiedlona tutaj w skapielach no i  
trzecia grupa imigranci "za pracą" coo wrodzaju nas. Grupy te w  
początkowej fazie ścierały się. Były nieraz bijatyki na ulicach.  
Były śpiewy w jęz. niemieckim. Sami kiedyś o naco co nie obserwa-  
liśmy. Całe szczęście, że ona i jej kolebanci znaki ico i to nieraz  
zapobiegazo bijatyce. Problem jedzenia mieliśmy rozwiązany w ten  
sposób, że stołowa zakładowa wydawała obiady, natomiast kolacje i  
śniadania organizowaliśmy sami. "arobki były bardzo małe. Stawka  
godzinowa wynosiła 54 zł. Czy cały miesiąc pracowalem na 3 salary  
wliczając i pracę w niedzielę, to przy dobrej pracy wyhodziło



1800 zł. Jak na mnie to w zasadzie średnio. Ale co mieli powiedzieć ci którzy mieli rodziny z kilkorgiem dzieci? Miasto rozbudowywało się w szybkim tempie. Usuwano gruzy, powstawały nowe domy. Robiło się coraz przyjemniej, ładniej, piękniej. Kampania skończyła się. Ludzie rozjechali się na święta do domów. Ja będąc stałym pracownikiem pozostałem. Rozpoczęła się żmudna praca remontów. Na halach dokuczał nam piekielny ziołb. Nie było ogrzewania. Sama praca była ciężka. Posługiwaliśmy się prostymi narzędziami. Dyrekcja jakos nie dbała, żeby nam ulżyć. W ogóle warunki socjalne były złe. Szafki ubraniowe mieliśmy ustawione na hali w zakamarkach. Wodę do mycia grzaliśmy sobie parą w wiadrze. Początkowo miałem trudności z nazwaniami narzędzi. W szkole uczone nas czystych nazw polskich. Tutaj były nazywane gwara miejscową. I są pyrliki, klanyncegi czyli ruszcugi nie mogły trafiać do głowy. A klucze do Śrub oznaczano na wzór angielski - w calach.

Nasza znajomość z [ ] przeciągała się. Była o dwa lata starsza ode mnie. Rodzina jej starała się o wyjazd do NDR. Planowali go na kwietniowy turnus. A my na wiołkanoc/koniec marca/ mieliśmy wziąć ślub. Po tem mieliśmy również wyjechać do NDR na stałe. Ta koncepcja nie odpowiadała mi. Stopniowo rozważałem swoje położenie i doszedłem do przekonania, że tak być nie może, że ja nie mogę wyjechać. Jako ja Polak z krwi i kości mam pozostawić rodzinę, dom rodzinny, niejsca gdzie spędziłem młode lata, gdzie każdy zakątek, lasek, staw jest mi znany? Jak się odważymy Polsce Ludowej że dała mi wykształcenie? Nie. Postanowiłem pozostać tu. Wiedziałem, że [ ] nie pozostanie, że będzie trudno jej to wytłumaczyć - więc po prostu zwolniłem się nic jej o tym nie mówiąc. Wyjechałem do Zabrza. Podjąłem pracę jako ślusarz, tym razem jako monter konstrukcji hal, dźwignie itp. Praca ta była bardzo niebe piecna. Stale pracowało się na wysokości, na chwijających się ramach, szupach. Ale osułem się dobrze. Stale na świeżym powietrzu, pod gołym niebem. Wdy padał



deszcz pracowaliśmy, ale musieliśmy być ostrożni, bo nieraz można było zlecieć z 40 + 50 m. Natomiast gdy były wyładowania atmosferyczne schodziliśmy z konstrukcji i przerywaliśmy pracę. Hala nie posiadała zabezpieczenia odgromnikowego. W brygadzie było nas tylko dwóch kawalerów. Gdy zachodziła potrzeba wykonania pracy na niebezpiecznej wysokości, gdzie w każdej chwili groziło spanięcie, uderzenie itp. wysyłano nas kawalerów. Żonaci prosili nas, żeby iść, bo oni mają dzieci i nie chcą ich osierocić. Więc szliśmy, a za to zdobywaliśmy szacunek ludzi starszych. Środowisko, które znajdowało się w hotelu było zróżnicowane. Podobne do spieraniny w innych hotelach. Byli ludzie, którzy mieli wytyczony jakiś plan życiowy, inni byli do wypłaty, a jeszcze inni trwonili zarobki i w zasadzie zaraz na drugi dzień po wypłacie już pieniędzy nie posiadali. Po prostu przepijali i przegrywali je w karty. Jakże niedany jest widok takich ludzi. Mieszkanie /jedna z izb sypialnych/ zadymione, przy stole gracze i kieliszki. Iżcie zwykle już o większe stawki. Dopiero późną nocą kończyły się te zawody. Wychodzili niektórzy bez spodni i marynarek, bo je przegrali. Cóż takiemu pozostało? Chodził potem w ubraniu roboczym, bez pieniędzy i głodny. Prosił kolegów: "daj kawałek chleba, bo jestem głodny". Iżcie brała. Ponad 25 wiosen życia i bez rozumu w głowie. Nie raz namawialiśmy ich do zmiany stylu życia. Obiecywali poprawę, ale nic z tego nie wyszło. Gdy tylko dostali pieniądze - zaczęli od nowa. Drugą plagą było przyprowadzanie przez chłopaków dziewczynki lekkich obyczajów. "Zachodziła niejedna taka pijana, że ledwo na nogach się trzymała. Na sam jej widok człowiek miał dość. "Zagorzej było w dniu wypłat. Następowaly wtedy porachunki między chłopakami, gdyż każdy był zapity. Najlepiej było wtedy iść na miasto do kina: na popołudnie, wieczor i na seans nocny. Gdy wracaliśmy z kolegą późną nocą, to najczęściej zastawialiśmy milicję, lub porozbijane drzwi, meble i powybijane szyby. "Sonate- rowie" albo odpoczywali na swych łóżkach, lub przebywali w "gości- nie" na MO. Wyczuwano się, że zakład niezbyt interesuje się miesz- kajcymi w hotelach. Zaadoptowano po prostu stary bazar drewniany, przykryty papą. Środkiem biegł korytarz a po lewej i prawej stronie były 3-osobowe



były 3-osobowe izby mieszkalne. Wzrost był duży. Przecież mieszkanie hotelowe to także odpoczynek po pracy, gdzie miejsce gdzie się uczy, czyta książki, czy pisze list. Wreszcie i tu zamieszani byliśmy jeść różne posiłki, gdyż nie było stołówek. Można organizować takie kwatery gdzieś na szlachech harcerskich, ale nie w domach pracowniczych. Po kilku miesiącach człowiek ma dość wszystkiego, rzuci to nam pewno. Więcej nie dziwiło mi się, że tak wędrowałem z jednej pracy do drugiej, że zmieniałem hotele. Byłem młody, niedoświadczony, takie życie przerażało mnie. Tutaj w Żabrze poznałem smak alkoholu, nauczyłem się palić. I mimo dobrych zarobków - nie praktycznie nie kupiłem sobie. Wódka pochłonięła moje zarobki. Widząc, że dalej tak być nie może - zwolniłem się.

Potem była kopalnia węgla kamiennego Chorzów III. Pracowałem na dole. Muszę dodać, że praca ta jest bardzo ciężka. Tutaj człowiek robi się twardy, hartuje swój organizm. Tu trzeba męskiej siły i odwagi. Wybiera się odpowiedzialność za życie kolegów. W razie potrzeby człowiek idzie na pomoc innym z narażeniem swego życia. I to jest piękna postawa ludzi dołu. Gdy widzi śmierć - idzie godnie w jej objęcia, gdy zajdzie potrzeba - rezygnuje z własnego ocalenia - idzie na pomoc innym. Jak zaznaczyłem, praca ta jest niebezpieczna, ale posiada urok, przyciąga. Pozostawia niezatarte wrażenia, wspomnienia. Pracowałem tam 3 miesiące. 3 razy śmierć zaglądała mi w oczy i zawsze jej unikałem. Pamiętny będzie pierwszy zjazd na dół. Starszy górniczy poanaja, że jedzie się poraz pierwszy. Ostrzegają, że zaraz w szybie będzie zakręt. Gdy pytaliśmy się, co będziemy robili, to nam odpowiadali, że łucili będziemy odmykali i kwiatki na grządkach podlewać. Jakże inna była rzeczywistość. Musieliśmy z kilofami wdzierać się upadkami na poziom, a potem transportowaliśmy silniki do pomp. Duże ciężary podnosiliśmy z łatwością i mimo nierówności terenu praca szła nam szybko. Szybko też oswoił się z warunkami i nabierał doświadczenia. Pracowałem



na różnych stanowiskach: na knoflu, przy ringach, na ścianie, przy przebudowie chodników i w transporcie drzewa. Chodziłem w niedzielę do pracy. Ale najprzyjemniej było, gdy wychodziło się z sali po skończonej szychcie, a potem czas wolny. Mieszkaliśmy w Domu Górnika w Bytomiu. I ten hotel nie różnił się niczym od innych. Tu też spotykałem ludzi, którzy żyli bez żadnego celu. Inni oszczędzali, ale tych bała garstka. Niektórzy mieli już własne radia w swych pokojach, parę ubrań. Ale co z tego, gdy były i takie menty, że kradli kolegom pieniądze, ubrania itp. Przed wypłatą można było kupić ubrania, czy buty lub zegarek za bezcen. Niektórzy nie starczyło do wypłaty więc sprzedawali co mogli. Czas wolny można było spędzić na mieście, bo w DG nie było nic prócz telewizora. Chodziliśmy do kina, teatru czy kawiarni. Znajomość z piękną dziewczyną nie zawieraliśmy. Było to naszej ryzykowne, można było oberwać. Oprócz tego panienki śląskie z niechęcią z nami zawierały znajomość. Nazywały nas "wulcanami" i czuły /jak zresztą i inni mieszkańcy/ do nas antypatię. Ja pracowałem razem z księżym. Bardzo lubił zaglądać do kieliszka. Zaczynałem się nim opiekować. Po prostu zabierałem mu wypłatę, by następnie wykupić obiady i inne artykuły do życia. Potem szliśmy po zakupy odzieży czy butów /oczywiście co wypłata, czy zaliczka zawsze coś nowego/. Pamiętam, że była wtedy moda na buty o grubych obcasach tzw. piętrowki z podwójnymi białymi szyciem. Gdy szycie zabrudziło się, to smarowaliśmy pastą do mycia zębów i znów ładnie wyglądały. W ciągu 2 miesięcy obkupiliśmy się bardzo ładnie. Przejechawszy do swojej wioski byliśmy naprawdę ładnie ubrani i miejscowe dziewczynki kłaskały za nami oczyma. Ale dla mnie stała się nowa ważna sprawa. Przyszedł wybór czy kopalnia czy kobieta. Kobieta o której pisałem to nie nikt inny, tylko dziewczyna, którą zapoznałem w Szczytnie, będąc na wakacjach u brata.

I tutaj muszę opisać historię naszej miłości. Ona miała wtedy 13 lat. Na imię miała [REDAKTOR]. Podczas pobytu na wakacjach nasze



romanse oparte były raczej o szkolne sprawy, książki i naukę. Gdy rozmowa schodziła na inne tory, wielce się obrażała i uciekała z nadęsaną miną pod "matczyną opiekę". Po wyjeździe trwała nasza korespondencja, przerywana i znów wznowiana. Trwało to 3 lata. W [ ] z nadęsanego podlotka wyrósł na prawdziwą kobietę. I tak po 3 latach będąc znów u brata odnowiłem koleżeńskie stosunki z [ ]. Gdy pracowałem w kopalni i miałem różne przejścia, gdy życie zawisło na włosku - ona o tym dowiadywała się od kuzyna, który w ten sposób odważał się na opiekę nad nim, za odciąganie go od kieliszka. Tak stanąłem u progu wyboru.

Z zalem sygnałem Śląsk. Z zalem patrzyłem na te cieniutkie nitki wień kopalnianych. Nitki, których już tyle razy powierzałem swoje życie i tylko raz sprawiły zawód. Ale skończyło się szczęśliwie. Wyszliśmy cało. Ostatni zjazd i ostatni wyjazd. Wyjeżdżając zastanawiałem się, czy kiedyś jeszcze tu powrócę. "Czarny wąż" dyżąc i sapiąc "porwał" mnie z zadymionego Śląska i zawiózł nad morze. Opuściłem Śląsk w lipcu 1960 roku i do dnia dzisiejszego nie odwiedzałem go. Przestałem zmieniać miejsca pracy, zamieszkania. Osiadłem na stałe na ziemi gryfińskiej.

Znow znalazłem się w Glinnej, u brata. Zaczęliśmy robić przygotowania do ślubu. Pracowałem w Puf. Jedziłem na snopowiazakce. zarobiłem parę groszy, ale na wesele było za mało. Tym bardziej, że teściowie zaczęli urządzać nudne wesele. Tutaj każdy musi się postawić. Należało postanowić sam finansować wszystkie wydatki. No bo jakże by to było, że gospodarz na 10 na i to jeden z najlepszych w gromadzie, każe tych "paru groszy". Co by ludzie powiedzieli, a szczególnie ci z centrali, że niby jest na zachodzie i na dobre, a wesele córce nie wyprawił. Więc stanęło na 50 osób. Niby mało, ale gdy przyszło ustalać kto będzie - ilość zwiększyła się trzykrotnie. No bo jeśli rozchodzi się o rodzinę w Plocku, to pamiętam jaka była ożywiona dyskusja. W różnych sprawach dyskutowano, że



może tak zrobić, a może tak i potem wyciągano najlepsze wnioski. Przyeszły też mówić, że trzeba zaprosić tego, tego i tego a taś- ciowa: jak będzie A [redacted], to trzeba i B [redacted] - bo się będzie gniewał. Ano jak S [redacted] to i H [redacted] z mężem. Trzeba także chrześną W [redacted], ale jak one to i Franków, bo to sąsiedzi i trochę rodzina. Po blisko 5 godzinnej naradzie ustalono i wypisano zaproszenia. Na drugi dzień zadowolony był także listonosz, no bo poczta ładnie za- robi od tyłu wysyłanych listów. Pozostała jeszcze narada odnośnie gości weselnych z własnego powiatu, no oczywiście sąsiad przez plot musi być. No i z wioski jeszcze kilkanaście rodzin, bo to zawsze jedni drugich wofają na różne przyjęcia, pochodzą z jednych stron, to jakże by to było. Ale muszą być jeszcze inni. A więc lesińscy i gajowy. Zawsze dobrze mieć znajomości. A nuż trzeba będzie iść do lasu wyciąć drząsek do wozu, czy przywieźć drzewa na opał. Będzie łatwiej dostać. Magazyniera z GS-u który przyjmuje ziarno. Będzie na weselu to jak mu się potem zawiezie trochę mokry rzepak - to przynaj- mnie oczy i nawet dużego stopnia wilgotności nie da. Z powiatu też trzeba kogoś poprosić, a szczególnie po linii banku, bo potem i z pożyczką łatwiej i na wygodniejsze raty rozłożą. No, musi być opiekun po linii hodowli. Byczek będzie mógł być prędzej przyjęty do pokrywania krow i wiele spraw będzie można prędzej załatwić. Uzgodniliśmy i innych gości, jak nauczyciele, Przew. Grom. Rady Narodowej i inni. Po dwóch naradach mieliśmy listę uzgodnioną. Po- zostało teraz tylko przygotowywać się. A więc poszedł duży wieprzak i cielę, narobiono kiełbas i innych wyrobów. Kupiono spirytus /wia- domo, że najlepsza wódka to ze spirytusu/. Zakupiono skrzyn piwa i oranżady. Wszystko czekało na weselnych gości.

Poranek wstał bardzo ładny. Była to niedziela 25 września 1960 roku. Szczerli zjeżdżał pierwszy weselni goście. Prawą powie- dzieć, to pół pekasa wysiadło w Glinnej i szło do nas na wesele. Licznie zjawia się rodzina z Plockiego. Jednak blisko połowa



zaproszonych gości nie przyjechała. Może był sły, że z jego rodziny  
mało przyjechało, że więcej przyjechało z rodziny teściowej. Potem  
sjawiała się orkiestra. Bo to jakże bez orkiestry. Zaczęli przyby-  
wać goście miejscowi. Orkiestra witała wchodzących marszem, a ci  
płacili ją - jak kogo było stać. Unarmier w mieszkaniach potęgował  
się. Bractwo było już po kilku kieliszkach więc humor mieli dobry.  
Panna młoda poszła usterać się do innego domu ~~xxx~~ w asyście kilku  
kobiet. Mnie nikt nie pomagał, gdyż wszyscy byli zajęci innymi  
sprawami. Gdy dano cynk, że czas zbierać się do kościoła i że panna  
młoda czeka, ja ze świtą i orkiestrą poszliśmy po nią. Następnie  
już razem szliśmy do jej domu, gdzie nastąpiło pośegnanie naszych  
stanów i błogosławieństwo od rodziców i weselnych gości. Miałem  
jeszcze szczęście ślubować w erze dorozek. I muszę przyznać, że to  
wygląda o wiele efektowniej, ładniej no i wrażenie o wiele większe,  
niż teraz w erze motoryzacji - gdzie młodzi i družbowie jadą w zam-  
kniętych pudłach taksówek. Nie ma takiego wrażenia, no i podróż  
parę minut. Jak zaznaczyłem - posiadaliśmy wszyscy na bryczki, ja  
wsiadłem z dwoma družnami, a panna młoda z dwoma družbami. Taki  
zwyyczaj tu panuje i tak musiało być. Dopiero przed kościołem ufor-  
mowaliśmy orszak i ja z ██████████ na czele orszaku weszliśmy do koś-  
cioła. Ludzi było pełno, ale szpaler utworzony w kościele pozwolił  
swobodnie iść do ołtarza. Jak twierdzili obserwatorzy, pięknie to  
wyglądało. Panna młoda w długiej sukni i z długim welonem wleczo-  
nym po ziemi z tyłu wyglądała prześlicznie. Ja prawdę powiedzieć  
czułem się zakamowany i nic prawie obok nie widziałem. Wzrok mia-  
łem skierowany blisko podłogi i świadomość, że cały kościół na  
mnie patrzy - onieśmielały mnie. Sama formalność udzielenia ślubu  
trwała godzinę. Po związaniu rąk stała, założono nam obrączki. A  
więc stało się. Koniec kawalerski żywocie. To już nie żarty, udawa-  
nianie bohaterstwa. Teraz już jest nas dwoje, a co przyszłość  
pokaże? Zaślubiny skończone - czas wracać. Tym razem już razem



w pierwszej bryczce. Na poźowie drogi niespodzianka. "atrzymano nas. Witano nas chlebem i solą oraz życząc jak najlepszego pojęcia. Robiono zdjęcie. Półlitrowka oriarowana dla organizatorów uwolniła nam drogę. W samej wiosce znów to samo. Z tym tylko, że tutaj wyległa cała wioska i PGR. Utworzyli szpaler i znów ta sama tradycja. I znów półlitrowka uwolniła nas. W domu orkiestra oczekiwała na nas, razem z pozostałymi weselnikami. Tutaj powitanie było najgorętsze. Dodatkowo obdarzono mnie dość dużym brzdącem z życzeniem "tusin ichó. Jak dotąd nic z tego życzenia, bo mamy tylko dwoje dzieci i nie chłopaki a córce ki. Orkiestra zagrała zaraz i co młodsi poszli w tany. A potem zabawa przeciągnęła się do białego rana. Już ludzie w PGR jechali do pracy, a u nas bawiono się. Kto miał dosyć tańca siadał w pierwszej izbie i jadł na co miał ochotę. Jadła i wódki nie sprzątano ze stołu. Posilwszy się szedł w tany i tak do białego rana. Było wesoło, śmiano się i śpiewano. Najróżniejsze stare przyśpiewki, takie lekkie i słone, niewinne i pieprane. W miarę upływu godzin i w miarę wzrastania ilości wypitych toastów - radość stawała się coraz większa. Tańczono poleczki i oberki, potem znów nowoczesne tańce modne w tym okresie. Obdarowano nas prosiakiem, nawet próbowano wprowadzić konia na salę jako dar dla nas. I może komuś wydać się śmieszne, że tak robiono, ale muszę stwierdzić, że wesele na wiosce na wiosce według starych tradycji ma swoje dobre strony. Inaczej dziś wyglądają wesela, a szczególnie w skupiskach ludzkich, w miastach. Już nie można tak się zabawić, obowiązują pewne normy, ludzie obok chcą spać, gdyż idą do pracy. Więc dzisiejsze wesele jest inne. Gdy słońce wschodziło zaczęli goście powoli odchodzić. Oczywiście oczekiwały ich obowiązki służbowe. Komu nie było spieszno poszedł i dalej zabawa trwała. Lecz na wszystko musi przyjść kres. Po południu odjechała rodzina z centrali. Pozostaliśmy sami, jakże mocno zapoczeni i tylko mówiliśmy spać, spać, spać.

Po weselu przebywałem już u teścia i wciągałem się w tajniki



wiedzy rolniczej. Była to nauka połączona z praktyką. Ja nigdy przedtem nie znałem tej pracy, więc nic dziwnego, że pierwsze kroki stawiałem raczej niepewnie. Na przykład posługiwanie się kosą przy koszeniu trawy, czy sianie nawozu było dla mnie trudne, ale od czego nauka? Po paru krokach zachowywałem się jak doświadczony wyga. Dostałem pochwałę od teścia z zapewnieniem, że będę dobrym rolnikiem. Ale ja tego nie planowałem. Miałem zawód na który straciłem 3 lata, państwołożyło na moje kształcenie więc powinienem dług spłacić. Nic dziwnego, że pracując na roli myślałem o pracy w przemyśle.

Wieś położona na równinie, naokoło uprawne pole. Maczej mała, posiadająca kilku gospodarzy. W 1954 roku w tej wiosce ożenił się mój brat J. [REDAKTION] - starszy ode mnie o 12 lat. miał różne przeżycia i przejścia. A więc w wojnę był parobkiem w karku u bauera. Po wojnie wyjeżdżał do pracy przy odgruzowaniu i odbudowie Wrocławia. Następnie w 1948 roku postrzelony został przez bandytę w nogę, akurat w wigilię świąt Bożego Narodzenia. Szpital i leczenie domowe doprowadziły nogę do normalnego funkcjonowania. Potem 3 lata służby wojskowej. Potem praca na Śląsku przy odbudowie. Był wówczas murarzem. Znał się doskonale na stolarce. Mimo to nie posiadał żadnych papierów. W 1954 roku ożenił się z pól-sierotą. Matka jej była na innej wsi, na służbie. [REDAKTION], jego żona również była na służbie. Musiała ciężko pracować na roli. Nie obca jej była praca przy pługu i najcięższe prace gospodarcze.

...Brat opuścił to miejsce nie dochodząc praw do wynagrodzenia za pracę żony i swoją. Wyjechał na Zachód do Szczecina. Osiedlił się w Nieznaniu, koło Starogardu. Pracował w PGR w oborze. Pragnął jednak pracować w swoim zawodzie stolarza. Po roku przeniósł się do Glinnej w pow. gryfińskim. Pracował tu jako stelmach. Na Zachód przjechał dosłownie z dwoma walizkami i córeczką Z. [REDAKTION]. Po roku przyszyła na świat druga córeczka. Dorobiał się pomalu. Krzybywało mebli, miał krowę, utrzymywał świnie i kury.



Dorabiał się również w dzieci. Posiada obecnie dwie córki i dwóch synów. W 1968 roku przeprowadził się do Piotna w pow. prymorskim - gdzie pracuje jako brygadzysta w oboznie z żoną. W rozmowie z nim dowiedzieliśmy się, że jest z pracy bardzo zadowolony i żałuje, że od początku nie pozostał wierny temu kierunkowi. Wiedzie mu się nie najgorzej. Oboje zarabiają po 3 tysiące miesięcznie. Prócz tego uchowają sobie parę świniaków, kur i kaczek. Mają także ogródki. A więc perspektywy dobre. W mieszkaniu telewizor, nowe meble. Najstarsza córka skończyła szkołę podstawową. Znowu nowe kłopoty. "Jak to życie leci" - mawiają.

"radośnie witano koniec wojny. Koniec walk i rozlewu krwi, ale nie dla wszystkich. Saperzy oczyszczali pola od min, pocisków i bomb. Niejeden przyplacił życiem, niejeden pozostał kaleką. Ten co pozostał przeszedł ten trudny egzamin rozminowania - pamięta do dziś dramatyczne przeżycia, chwile trwogi. Wiadomo saper tylko raz się może pomylić, bo już drugi raz u "Świętego Pietra w niebie" - jak mówił Gustlik z "Czterech pancernych i psa" - będzie się mylił. Właśnie z chwilą zakończenia wojny teść poszedł do wojska na rozminowanie. Po odbyciu służby wrócił do domu. Jednak perspektywy pracy na 2 ha ziemi, gdzie trzeba się budować, zaczynać wszystko praktycznie od początku - nie były różowe. Wyjechał więc z żoną i trojgiem dzieci do Glinnej w pow. gryfińskim. Tutaj otrzymał 10 ha ziemi i budynki. Praktycznie trzeba je było remontować. Z jego stron przyjechało więcej rodzin. Zastali podobne warunki. Dom czy cięwo był rozszabrowany. Okna i drzwi powymowane z witrzynami. Sufit przeświecał dziurami. Łóżka poustawiano w miejscach gdzie sufit trzymał się dość dobrze. Tak zaczęła się praca przy odbudowie. Robiono porządki w gospodarstwie jak również i na roli. A była zaniedbana. Ogromne ilości perzu musiano najpierw usunąć z pola. Brakowało narzędzi i maszyn rolniczych. Ale wszystko można przecież zrobić. Siewnik zastąpiła



płachta, kopaczkę - motyczka. I tak starym sposobem zagospodarowano te ziemie. Co rok to nowa inwestycja, nowe narzędzie, nowa krowa czy koń przybywało w gospodarstwie. Ludzie żyli, razem dzielili dobro i zło. Gdy były chrzciny, czy wesela wożano się. Przychodzili jedni do drugich w wolnych chwilach. Rozgryzali problemy razem, wzajemnie sobie pomagając. To były piękne chwile jak wspominają teście. Było wesoło i miło i tylko te chwile przerywane były przez przyjazdy znajomych i z rodziny z Centrali. Pozostawały po nich chwile zakamania, lęku i trwogi. Przejżdżali, oglądali i mówili że macie dobrze, że żyć tu lepiej, warunki dobre, ale wolimy te dwie morgi tam i klepać biedę a mieć głowę spokojną. Bo to wiecie - mawiali - czasy niespokojne. Niemcy lada chwila przyjadą i Was albo wygonią albo i na służbę pojedziecie. Lepiej to zostawcie i wracajcie. Tam ziemi mało, ale swoja i budynki możecie sobie postawić i jakoś żyć. Właśnie jakoś żyć. Ale trudno sobie wyobrazić to jakoś żyć, poprostu żyć w nadziei, bo co z tych 2 ha można dostać? I tak jak zaznaczyłem nieraz pozostały w teście słowa tych co odjeżdżali, ale przychodziło odprężenie. Przecież te ziemie są nasze, po prostu myśmy tu wrócili i je zasiedlili i nikt nam ich już nie zabierze. Nie darmo moi koledzy krew przelewali - myślał testis - a jak zajdzie potrzeba to i ja przeleję. A że serce chłopackie z krwi polskiej to i trwogi nie znało. Więc znów radość i rumieniec szczęścia na twarzy pokazał się. Wziął się więc testis i jego sąsiedzi do roboty a na wyniki długo nie trzeba było czekać. Aż im serce się śmiało, gdy było pięknie obrodziło, a pszenica zaszumiła i powiało od niej pięknym zapachem. Ciężkie i duże kłosy przypominały, że nastaje nowe życie, że będzie dużo chleba i ciasto będzie można upiec, nie tak jak w Centrali, gdzie można było upiec tylko na większe święta. Teraz oni tu panami. A długo musieli na to czekać. Byli przedtem wyrobnikami. Siły i swe młode lata tracili dla innych



ala tych co posiadali majątki, pieniądze i służbę. Jakże inne życie rysowało się przed nimi teraz. To nie, że zaczynali od początku, to nie, że wszędzie widać rękę wojennej emidy. Oni wzięli pierwszy plon. Wdetchnęli. Potem przysłały następne zioły i coraz lepsze. Już "niewierni" z centrali przyjeżdżali rzadziej, ale za to z żalem. Teraz chcieliby tu przyjechać na stałe, lecz miejsc już było mało. I z żalem odjeżdżali, opowiadali natomiast innym, że tu już Niemcy nie przyjdą, że tutejsi gospodarze to bogacze, to kuzaki. I dziś inaczej nie powiedzą tylko: "M [redacted] na zachodzie wyprawia wesele, ale to będzie duże wesele, bo tacy bogacze". Pierwsze radio jakie zagrało w Ulinnej to w mieszkaniu teścia. Pierwsze maszyny rolnicze, czy nowe meble posiadał teść. Jednak by to mieć trzeba było ciężko pracować, po prostu harować. W zimo nie było odpoczynku. Jeździł z końmi do lasu na srywkę i wywózkę. Tam gdzie nie mogły maszyny, poszły konie i człowiek. Jednak trud i ciężka praca dawały wyniki. Rodzina powiększała się do 6 dzieci: 4 córki i 2 synów. W 1958 roku nastąpiły nowe kłopoty. Córki dorastały, potrzeba je było ubrać. A najstraszna J [redacted] chodziła z chłopcem i mimo młodego wieku zamierzali się pobrać. On posiadał 17 lat - ona 18 lat. Tak to bywa z pierwszą miłością od wejrzenia, że światła poza sobą nie widzieli. Pobrali się. Miłość ich ~~przekształciła~~ była wielka, ale skłoniąca. Z biegiem czasu przygasła. I dziś mimo, że razem żyją, to jednak już nie to samo. Ich życie opiszę w dalszej części pamiętnika.

W dalszym ciągu rodzina powiększała się. Przybył M [redacted] - mąż J [redacted]. W rok po ślubie urodził im się syn. Wszyscy byli bardzo ~~zadowolonymi~~ zadowoleni. Tylko teść pochmurniał. Pozostał już dzieckiem mimo bardzo młodego wieku. Teściowa natomiast twierdziła że babką nie jest, ponieważ jest wnuk, co innego gdyby była wnuczka. W 1960 roku do tej rodziny dołączyłem ja.

Był pochmurny ale ciepły dzień październikowy 1962 r. Na



polach patrząc z wagonu migały ludzkie sylwetki zajęte pracą w przy wykopkach. I tylko na ten moment przejazdu pociągu podnosili się i pozirawiali pociąg. Byli może myślą w dalekiej podróży, a może zastanawiali się, kto też tam jedzie i dokąd, a może tylko z ciekawości spoglądali na wagony, które ciągnęła sapiąca lokomotywa. Mijały grupki dzieci wesoło machały nam rączkami. Pociąg mijał lasy, gdzie panowała cisza i rzadko prawo natury. Kierowany ręką człowieka mknął dalej mijając wioski, samotne domki lub przecinając drogi, przy których straż peźnili ludzie, dbali o bezpieczeństwo przejazdu. Tyle razy jeździłem tą drogą, ale prawie nigdy nie zauważyłem tyle piękna przyrody. Dlaczego tak ! Otóż teraz jechałem z wojska do cywila. Pod każdym względem czułem się odprężony. Byłem dumny z siebie, że już spełniłem obywatelski obowiązek Polaka. Mogłem poświęcić więcej czasu na otaczający mnie świat, ludzi. Patrzeć więcej trzeźwo i wnikliwie i rozważać. Wojsko skończone. Rozstałem się z kolegami, z którymi przez edźm barazo dużo, dzieliłem zło i dobro. Muszę dodać, że wojsko to najlepsza szkoła życiowa. Samemu trzeba sobie radzić i w trudnych chwilach umieć wytrwać. To szkoła nęskości. Niejeden lalaś zmienił się tu, nauczył, zapamiętał. To szkoła odważnych, dla których ratowanie życia, nienia innych ludzi to po prostu patriotyczny obowiązek. Tu niejeden zdobył zawód, który przyda mu się w cywilu jak: kierowca, mechanik, traktorzysta, telgrafista czy ślusarz. Nieprawdą jest jak mówią niektórzy, że to przeserwa w życiorysie. Wojsko w dzisiejszej dobie musi istnieć, musi być dobrze uzbrojone, by w razie jakiejś agresji nieprzyjaciela dać mu odpowiednią odprawę i męczkę.

Jestem w cywilu. Co dalej robić? Stanałem przed tym problemem. Nie miałem konkretnych planów. Dotychczas zmieniłem pracę najdkusej po 6 miesiącach. Czy i teraz tak będzie ? Mam żonę, więc niewolno mi tak czynić. Muszę osiąść gdzieś na stałe, mieć



stałą pracę, dostać mieszkanie. Na roli nie zostanę. Teść jest młody. Nie ma zamiaru oddać mi gospodarki. Posiada jeszcze 4 dzieci, które musi utrzymać, a z czego jak nie z gospodarki? Wiece mi zostaje. Tylko praca zawodowa. Muszę odrobić to, co na moje wyuczenie wrozyło państwo. Muszę spłacić dług.

10 km od Glinnej jest miejscowość Płonia. Administracyjnie jest dzielona. Jadąc od Szczecina, czy Starogardu to Struga, a od Poznania - Płonie. Przystanki: autobusowy - to Bukowo, a kolei towarowej Glesino. Myślałby ktoś, że to duże miasto. Nieprawda. To wioska. Wioska z perspektywami rozbudowy. Jest cegielnia. Otwarto i uruchomiono nowy zakład Przemysłu Maszynowego Leśnictwa. I właśnie w tym zakładzie rozpocząłem pracę. Praca ta pokrywała się z moimi kwalifikacjami. Ale z początku miałem różne trudności. Żanim opiszę fabrykę, chciałbym opisać swoje rodzinne tragedie. Po powrocie z wojska zastałem zmienioną sytuację. Zona pracowała w Szczecinie i tam ~~została~~ mieszkała na sublokatorce. Mnie gospodyni tego mieszkania nie zezwoliła wspólnie mieszkać. Dodam, że zona po pracy zajmowała się domem i kuchnią tej gospodyni. Przez dwa tygodnie dojeżdżałem PKS-em. Wstawałem o 4<sup>10</sup> i musiałem iść 4 km do przystanku, by na 6<sup>45</sup> zdążyć do pracy. Z powrotem to samo. Wracałem o 17-tej mocno zmęczony i głodny. Po obiedzie chciałem odpocząć, lecz teść patrzył krzywym okiem, że ~~mi~~ nie pomagam. A był to końcowy okres wykopków. Wiele ~~zrobiłem~~ siedłem i pomagałem, a potem szybko do łóżka, bo wcześniej musiałem wstać. W pierwszą niedzielę przyjechała zona z gospodarzami ich samochodem. Wrażenie na mnie zrobiła nienajgorsze. Po prostu to jaś nie ta kobieta. Chciała udawać miastową, być elegancką, szczególnie w mowie - ale to się jej nie udawało. Miało tego w stosunku do mnie - jej męża była arogancka, zarozumiała. Wyzwała mnie od grupków, od takich co nie umieją nic zaradzić, że do dziś /7 dni/ nie dostałem mieszkania itp. itp. Na koniec



nie pożegnawszy się ze mną wsiadła do samocnodu i pojechała. Zrobiło mi się jakoś głupio. Załatwiam przecież mieszkanie na sublokatorce. Ma być za tydzień gotowe, a ona mnie tak traktuje? Postanowiłem uciekać. Mój cały majątek mieścił się w walizce, to problemów nie było. Żaraz po jej odjeździe spakowałem swój dobytek, rozdzieliłem zdjęcia, co moje do walizki, co jej do szuflady. Poszedłem potem do brata by się pożegnać. Tam, nietylko, że nie przyjęli mojej decyzji o ucieczce, ale ją zganili i powiedzieli wręcz, że mnie z rodziny wykreślą, a na dodatek pójdą zaraz powiedzieć teściowi o mojej decyzji. Dałem się bezpośrednio rozmów na ten temat z teściami, nie chciałem tracić jedynego brata i pozostałem. Mieszkanie za tydzień było już gotowe. W niedzielę teść i ja załatwiliśmy łóżko, szafę, stół, małą komodę, trochę bielizny, garnków i wprowadziliśmy się do pierwszego naszego mieszkania. Żony nie było, nic o tym nie wiedziała. W środę pojechałem do niej. Zabrałem jej pierzynę i poduszkę. Ona jeszcze została na dwa dni. Te pierwsze dni to istny koszmar. Noce zimne. Nie było w czym i czym palić. "rakowało wszystkiego. Ale za to już rano nie muszę tak wczesnie wstawać. Do pracy mam 500 metrów. Po południu nie wiem co zrobić z wolnym czasem. Nudzę się, chodzę na spacer i wczesnie spać. I tylko czekam kiedy ona przyjedzie. I oto przyjechała, lecz o dziwo jakoś nie narzekała, że nie ma 3-pokojowego z łazienką z wanną. I tak zaczęliśmy wegetować, bo inaczej tego nazwać nie idzie. Właścicielka kobieta bardzo kłótliwa. Przeszkadzało jej to, że dwa razy za dużo wyszło się na dwór lub po wodę. Że żona spała dłużej - również jej to przeszkadzało. Odraywaliśmy się do sąsiadów z drugiego domu - to jej również przeszkadzało i zabroniła nam się odsywać do w/w ludzi, bo ona z nimi się kłóci. Na koniec chciałem się zameldować na stałe, bo po wojsku musiałem dopełnić tej formalności - lecz o dziwo sprzeciwiła się. Tymczasowo zgadzała się. Natomiast softlye inaczej



nie chciałem niż zameldowanie na stałe. Wymówiła nam mieszkanie, sama oczywiście je znalazła. Tak po dwóch tygodniach nowego życia na swoim - przeprowadziliśmy się znów na nowe miejsce. Oczywiście był tylko jeden pokój. Zamieszkała z nami Z [REDAKTOWANE] - siostra żony. Było nam bardzo ciasno. Dwa łóżka, szafa, stół, szafka na naczynia kuchenne i Kuchenka żelazna tak zajęły nam miejsce, że poruszać się swobodnie nie było mowy. Gdy ustawiliśmy choinkę to już był problem jak chodzić po mieszkaniu. Mieszkanie to było u pewnej wdowy powyżej czterdziestki, na uboczu pod lasiem. Było skromne i przytulne. Jakoś jednak chciało się wracać po pracy do domu. Wdowa często wyjeżdżała na wojak na kilka miesięcy i dom zostawiała pod opieką swojej matki. Było nam dobrze. Dni wlokły się pomału. Mieliśmy jeden problem - opał. Tego stałe brakowało. Z [REDAKTOWANE] chodziła do siódmej klasy w tutejszej szkole. Przyszła tutaj dlatego, że w naszej wiosce rodzinnej miała 4 km. A w zimie to wiadomo jak jest z tą drogą. W dodatku była wtedy zima bardzo ostra - tzw. stuletnia. Nam dała się bardzo we znaki. Ściany pokryte były grubą warstwą szronu, szczególnie za szafą i łóżkami. Niewiele chyba pomogły okiennice jakie pozakładałem. Ale cóż to znaczyło dla nas młodych? Na wszystkie święta i niedziele jeżdżaliśmy do teściów. Z nastaniem wiosny człowiek czuł się jakby odmłodzony. Wiosenne słońce przygrzewało, drzewa puszczały pąki i dostawały liści. Ja czyniłem starania w zakłanie o mieszkanie. Dużo w tym pomogła mi organizacja partyjna. Podeszła po ludzku do mojej sprawy, zbadała ją i mieszkanie otrzymałem. Mieściło się ono w tej samej miejscowości. Otrzymałem 2 pokoje, wspólna łazienka, wspólna kuchnia i wspólny korytarz. Jak można się domyślić mieszkali tu jeszcze ktoś. A więc był trzeci pokój, w którym zamieszkiwało młode bezwzględnie małżeństwo, potem były inne osoby. Ale o tym - potem. Przeprowadziliśmy się 5 lipca 1963 roku. Po wszelkich znakach wiedzieliśmy, że



my szliśmy się myć pozostawała gorąca jak ukrop i to w dodatku  
w małej ilości. Z jednej miednicy i z tej samej brudnej wody ko-  
rzystało nieraz 5 lub więcej pracowników. Byli wśród nas i tacy,  
nasza rodzinka powiększy się.

Chciałbym teraz opisać moją pracę w tym zakładzie. Przystąpiło  
mnie w grupie 6-tej, tj. 8 zł na godzinę plus ewentualnie pre-  
mia 27%. W produkcji otrzaskania nie posiadyłem. Rysunki znałem,  
ale tu spotkałem się z zestawieniami. I w pierwszej chwili my-  
ślałem, że nie dam rady. Dodatkową trudność czyniło to, że nie  
było odpowiednich maszyn. A muszę dodać, że była to nowo otwar-  
ta filia jednego z Szczecińskich zakładów. A więc początkowo  
było trudno. Mnie jednak wystarczył okres 1 miesiąca i otrzaska-  
łem się z pracą. W rysunkach nie miałem trudności, a nawet o-  
dziwo zaginałem starszych pracowników w odczytywaniu ich warunków  
socjalne były pod psym. Szatnię mieliśmy umieszczoną w pomiesz-  
czeniu na hall, z której korzystał również kierownik i mistrz.  
Umýwalnia była również w hall, odgródzona siatką. Wodę gotowano  
nam w kotle do parowania kartofli. W ogóle z tą wodą były stale  
problemy. Gdy palono ogień, to dym wychodził na całą hallę. Ury-  
zło w oczy, bolała głowa. Później myślałem się na 2 tury, jako, że  
Ci z Dąbia mieli o 10 minut przódziej autobus, więc schodzili z  
pracy o 10 min. wcześniej. Zużyli przeważnie zimną wodę, a gdy  
my szliśmy się myć pozostawała gorąca jak ukrop i to w dodatku  
w małej ilości. Z jednej miednicy i z tej samej brudnej wody ko-  
rzystało nieraz 5 lub więcej pracowników. Byli wśród nas i tacy,  
którzy na każdym kroku robili psikusy. A to rurę swalili z pieca  
i wówczas na hall nic nie było widać od dymu, albo wylali zimną  
wodę na podłogę. Innym znów razem przewrócili drewniany ustęp  
w ogrozie zakładu. I było tak, że w/w ustęp więcej był nieczynny  
niż czynny. A dla tych ludzi to była uciecha. I tak niestety  
jest wszędzie gdzie organizuje się nowy zakład. Pracowników  
fizycznych z chwilą mego przyścia było około 20-u. Był kierow-  
nik i mistrz. Poza tym nie było żadnego biura. Cauliśmy się do-  
brae i nikt się nie szwendał po hall. Biura były w maciezystym  
zakładzie Szczecin-Kijewo. Gorszej było z zakatwieniem sprawy



papierkowej w biurze. Tu już traciło się najmniej 2 godziny. Później mieliśmy już gońca, który zabierał nam wszystkie sprawy. Mleko i kawę dowożono nam z Kijowa. Pamiętam, że nieraz mleko było zamrożone; braliśmy po prostu grudki i wrzucaliśmy do kawy. Ogrzewania hala nie posiadała. Było na ukończeniu. Aby roztopić to zimno na hali - porobiono kokosniki. Te jednak dużo nie pomogły, jako, że praca nasza była ruchliwa, nie w jednym miejscu. I tu znów znaleźli się i tacy co to robili palikasy. Wrzucali szmaty, lub znów przewracali je. Sam transport nie był rozwiązany. Szwabce dopiero miano montować. Długo, że do przewrócenia ciężkiego detalu wołało się wszystkich pracowników i razem się to robiło. Było to bardzo niebezpieczne i męczące. Często bolały nas ręce i w plecach od zerwania się. Tym samym wydajność była bardzo niska. Dział to są już wspomnienia. Gdy młodszym kolegom opowiadamy nasze pionierskie początki - to mówią, że to bajeczki, że to było dawno i dzieje "niemożliwe". Mają rację. Dział inaczej ustawia się profil zakładu produkcyjnego. Sama praca /początkowo nie mieliśmy gilotyny/ - więc była ciężka. Blachy musieliśmy ciąć palnikami. Dalej dochodziła obróbka, szlifowanie krawędzi. Dział idzie o wiele pręcej, łatwiej a tym samym wydajność jest lepsza. W marcu pracować było niemożliwością. Wróż dawał się nam we znaki. Oddana linia ogrzewania - zawiodła. Dyrekcja nie kwapiła się jakoś do poprawy i tak ciężkich warunków pracy. Chcieliśmy na parę dni przerwać pracę by potem w cieplejszym okresie odrobić to. Dyrekcja nie chciała się na to zgodzić. Ludzie pewnego dnia zbuntowali się. Ubrali się, ale pracy nie podjęli. Po pertraktacjach puuszczono nas na 5 dni. Gdy wróciliśmy to w hali zastaliśmy sztuczne lodowisko. Okazało się, że nowa instalacja grzejna zawiodła. Popękany przewody i woda wylała się na halę. Posadzka wykonana była z cementu. Cicho było kurzu. Wentylowaliśmy go przez 3 godzin. Udy ruszyło się



jakimś detalem to wzbijały się tumany kurzu. Ambulatorium na miejscu nie było. Był lekarz w drugim zakładzie. Tam też był dentysta. Gdy ktoś chciał leczyć zęby płacił 5 zł. Ludzi stopniowo przybywało. Część zakłogi stanowili starzy pracownicy przeniesieni z Kijowa. Powstała większa ilość brygad. Żadaniamieliśmy już większe, przybywały nowe maszyny. Zaczęto robić wstępne prace przy filarach pod suwnice. A trzeba dodać, że czekaliśmy na nie z utęsknieniem. To przecież nasza pomoc.

Wracając do mego życia rodzinnego, zaczął od nowego mieszkania. Najwięcej niezadowoloną, złą i zazdrozną okazała się żony siostra - "██████". Kłóciła się z mężem, że on nie może wystarać się o mieszkanie, że nie potrafi, że W ██████ młodsza od niej o 4 lata i już jest na swoim, w swoim mieszkaniu. Wreszcie i oni poszli na sublokatorkę w Smerdnicy 1 km od nas. W blokach naszych mieszkało już kilka rodzin. Początkowo obserwowaliśmy je. Zorientowaliśmy się, że z są tu dwie zasadnicze grupy, które pochodziły z jednych stron i które razem trzymały sztafę. Pozostałe 4 rodziny były raczej zajęte sobą i swoimi troskami. Jedna rodzina z Poznania, prawdopodobnie pochodzenia szlacheckiego nie mogła się z nikim pogodzić. Być może była urażona, że nie ma odpowiedniego szacunku i poważania u innych ludzi. Zapomniała, że okres szlachty i panów dawno się skończył, skończyło się ich panowanie i rządy, że teraz są wszyscy sobie równi. Pani sąsiżka, żona była najładniejszą, najlepiej ubraną, bogatą, bo miała tysiące na PKO /tak sąsiżka/. Kłkukukukuk W rzeczywistości ja jako przed brzydka miałem inne zdanie. "yła po pięćdziesiątce i naprawdę brzydka. Ubierała się długo i staromodnie, a co się tyczy pieniędzy w PKO też ich nie miała. W późniejszym okresie pożyczka na życie od nas. Tego nie kazała nikomu a więc, bo jak sama oznajmiła wstydzila by się ludzi. My z początku z nimi trzymaliśmy, ale potem przekonałem się, że to ludzie fałszywi, cieszą się z



ludzkiego nieszczęścia i bardzo zazdroszą innym sukcesów. A ja tego nie lubiłem. Sam przeprowadzając się miałem stare meble i to w małej ilości. Nie posiadałem nic w gotówce, czy na książeczce PKO. Ale mimo to nie chwaliłem się, mówiłem prawdę, że jestem na dorobku, że mamy płacić kaucję, dwie raty itp. Nasze życie miało specyficzne warunki rozwoju. Dostaliśmy mieszkanie, 2 pokoje, połowę kuchni, połowę łazienki i połowę korytarza. W małym pokoiku 4 x 2 m mieszkali różni ludzie. I najlepiej będzie, gdy opiszę "swoich sublokatorów" od początku do końca a potem poruszę inne sprawy.

Najpierw było ich dwoje. Małżeństwo. On z wykształceniem technicznym - ona bez pracy, przy mężu. Oczekiwali na przydział mieszkania w Sączecinie. Po 3 miesiącach mieli je otrzymać. Nie byli zbyt sympatyczni, szczególnie on. Udawał poważnego i zaradczego. Często sprzeczał się ze swoją żoną. Tak ogólnie dobrze między nimi nie było. Chcieli z nas zrobić swoich podwładnych. Chcieli gotować w kuchni, ale po opak nie poszedł się starać czy nawet porąbać drzewa. Łazienki nigdy nie sprząkali, nie mówiąc już o zmyciu wanny, kuchni czy korytarza. Na koniec gotowali wszystko na maszynie elektrycznej. Mimo to, za światło płacić nie chcieli. Owezem na koniec dali mi 50 zł zamiast 250 zł i powiedzieli że więcej nie dadzą. Wyprowadzili się. Począłem starania o przydział tego pokoiku. Na darmo. Nawet prośby o samianę nie odnosiły skutku. Dyrektor Zakładu odpowiadał - nie. Zresztą on już taki był. Był po prostu żandarmem, sędzą czy prokuratorem. Nie był dyrektorem, estowikiem. Nie umiał żyć i pracować z żoną. Jego zdanie zawsze było najważniejsze, chociaż popełniał pomyłki. Zakład zadłużył, nigdy nie było planu. Wzięli się za niego i pana D. [REDACTED] wylali. Ludzie byli bardzo zadowoleni, ucieszeni, że tyraha nie będzie. Pan Duraj po kilku nieudanych próbach dyrektorowania w innych zakładach pozostał dyrektorem w



Zakładzie pod Gayrinem, Dziwię się, że takiego człowieka pcha się na takie stanowisko, kiedy on się na nie nie nadaje. I właśnie ten dyrektor odpowiada na moje podanie nie. Nieraz umieszczając adnotację, nieraz po prostu "nie zgadzam się".

Następnie był mężczyzna ponad 30-kę, pracownik działu inwestycji. Lubił bardzo kobiety i nigdy nie miał pieniędzy. Długo nie namieszkał, chyba z 4 miesiące i po prostu uciekł. Nie zapłacił mi za światło, ukradł mi koszulę, zegarek i budzik. Dyrektor na to nic. Nie mam czasu - odpowiadał mi i mieszkania w dalszym ciągu nie dał. Wprowadzili się potem dwaj panowie. Jeden starszy, drugi młody. Młody snów chciał korzystać z radia naszego, zaglądał do szaf, do spizarki. Myślał, że mu wszędzie wolno. Natomiast ten starszy zwracał mu uwagę, że tak nieładnie. My nie zamykamy drzwi na klucz do pokoi, znaczy wierzymy im, więc nie powinni zaufania zawieść. Starszy pan był do nas bardzo przywiązany, szczególnie do naszej córeczki I [REDAKTION]. Mówił, że to jego wnuczka, przynosił jej cócierki i inne dostępne tu na prowincji jakości. Lecz i oni odeszli.

Ostatnim współlokatorem była kobieta lat 28 na imię miała [REDAKTION]. Ta mieszkała z nami najdłużej, bo przeszło 2 lata. Ale mieliśmy z nią bardzo dużo przeżyć i to raczej smutnych. Była rozwódką z jednym dzieckiem. Trochę nienormalna. Chwilami umiała porozmawiać, potartować. Momentalnie coś się w niej zmieniało i mówiła bzdury. Uciekała do swojego pokoju. Minęło - wówczas przychodziła z powrotem i jakby nic nie zaszło, prowadziła dalej rozmowę już normalnie. Lubiła bardzo mężczyzn, jako, że była kobietą w sile wieku. Mieliśmy z nią i z jej kochankami wiele kłopotu. Przeprowadzała ich lub przychodzili sami, przy tym zawsze pijani. Muszę nadmienić, że z wyglądu była nieszczególna i być może, że niejeden z tych mężczyzn będąc trzeźwy nie przychodziłby do niej. Spotykałem tych mężczyzn później, to albo uciekali



sawstydzeni, albo mówili po co ja tam poszłam. Pracowała w Zakładzie, gdzie i ja. Była suwnicową - mimo krótkiego wzroku. Miała parę razy wypadek w pracy z jej winy, lecz nie zdjęli jej, gdyż kierownikiem był jej brat. Dostała największą grupę zaszelegowania, no bo jakże brat nie zrobi? Inne suwnicowe buntowały się. Tymbardziej, że M. [REDAKTOR] nie miała uprawnień na sterowanie z kabin, miała tylko uprawnienia na sterowanie z dołu.

Po przeprowadzce, jak to zwykle bywa, bałagan panuje wszędzie. Tak było i u nas. Potem zaczęły się odwiedziny różnych osób z rodziny. Jedni cieszyli się, inni po prostu zaszczyścili. Sąsiedzi z zaciekawieniem spoglądali co to za młode małżeństwo przyprawiło się. Z nami zamieszkiwała Z. [REDAKTOR] - szwagierka, oraz od września R. [REDAKTOR] - szwagier. Ona chodziła do postawówki, on do zawodówki przy naszym zakładzie. I więc były nas 4 osoby. Było nam dobrze, chociaż to było uciążliwe, krępujące. Teść dawał nam niektóre produkty rolnicze, ale w sumie nie wystarczały i nie dawały w zamian tego co ja wykładałem na ich wyżywienie. Zresztą cały urlop, wolną chwilę spędzałem u teścia i pomagałem, co w rzeczywistości oznaczało, że te parę metrów ziemiaków sam zarobiłem. W dodatku teść przy okazji jakiegoś przyjęcia "wylewał" swoją dobroć, co on dla nas nie zrobił - "już tego kartofla nie musisz kupić". Mnie nieraz podczas obiadu kartofel ten stawał w gardle, po prostu myślałem o teścia mowie. Gdy były wywiadówki musiałem sam jechać. Teść stale narzekał na brak czasu, a tym bardziej gdy przyszło mu gdzieś jechać coś zakatwić. Wtedy zacząłem poznawać jaki on ma charakter, co "wart" jest. Był to człowiek, który lubiał mieć wszystko zawsze pierwszy. U niego musiało być pierwsze w wiosce radio, pierwsze zegarki, czy dla żony i córek pierwsze pelisy na owe czasy bardzo modne. Nie dał się ubiec, ażeby sąsiedzi już to mieli, a on w drugiej kolejności. Żniwa musiał zacząć pierwszy, pierwszy je skończyć. Lubił



kupić to czy tamto, raczej dla siebie co pracą na roli czyniło lajszą, mało dbał o ubiory, meble. Rządził dobrze, gdy było na "kupce". Natomiast gdy na "kupce" było zero, to wówczas chleb jałł suchy z mlekem. W chwilach szczerości dla dzieci oddał by wszystko, majątek, krew nawet życie. Ale w rzeczywistości było inaczej. Obietnice nie były raczej dotrzymywane. Też zaczął popełniać z biegiem czasu błąd i to bardzo wielki; taki sam błąd zaczęła popełniać teściowa. Zaczęli faworyzować niektóre swoje dzieci. Mieli ich 6. Były 4 córki i 2 synów. I właśnie Oboje, J. [redacted] najstarszą i B. [redacted] - 3 z kolei - zaczęli uważać za swoje dzieci bardzo dobre. Reszta to też są dzieci, jak mówili, ale te niedobre, łobuzy itp. Z kolei tą swoją drogą planowość do tych dzieci nielubianych zaczęli przelewać na mężów - zięciów i wnuczków z tego dzieci. A to boli serce. Dlaczego tak jest? Dlaczego dzieci J. [redacted] są lubiane. Teściowa z nimi zawsze posiedzi, kasę zostawi, a inne? nie. Twierdzi, że są niegrzeczne, że łobuzują. Przecież to dzieci. I ciekawe, że u J. [redacted] dzieciaków tego nie widziała, a nie przepała dużo nocy bo płakały. J. [redacted] spała, a teściowa je bawiła. U jednych widzi dobre strony, u innych tylko same złe. I nie dziwiłbym się. Ale teściowa była bardzo religijna. A przecież kościół nakazuje miłować bliźniego /nie mówiąc już o dzieciach swoich/ jak siebie samego. I dlaczego tak czyniła?

W styczniu urodziła się nam córeczka. Wzięliśmy jej na imię I. [redacted]. W kwietniu zostaliśmy brygadystą. Nowe udatkowe obowiązki więcej pracy, większa odpowiedzialność. Nasze życie w tym okresie w jakieś szczególne wydarzenia nie obritowało. Byliśmy na dorobku. Kupowaliśmy za każdy grosz jakiś mebel czy inną rzecz do naszego mieszkania.

Pierwsze kontakty z komornikiem miały miejsce w czerwcu 1966 roku. Musiałem płacić 6000 zł za poręczenie w GMS-ie dla



szwagra - J [redacted] męża. Parę słów o nim. Był z tego samego rocznika co ja. Ożenił się jednak dwa lata przede mną. Mieli najpierw syna. Mieszkali u teścia. Potem była służba wojskowa i następnym razem dwóch synów. Po naszej wyprowadzce, w lipcu oni wyprowadzili się na sublokatorkę do Smerdnicy, 1 km od nas. Żyliśmy ze sobą bardzo zgodnie, więc dlaczego nie miałbym mu pożyczyć. Wziął meble, telewizor. I wtedy zaczęło się dziać coś niedobrego. Zaczął tracić tysiące. Gdy jechał do teścia, to teść latał po wiosce i pożyczka 2-4 tysiące, bo to dla K [redacted], bo to im na mieszkanie potrzebne. Tak nawiał, lecz nie umiał wylegitymować się dowodem wpłaty tej sumy. Gdy chciałem jechać sprawdzić w jego kaskadzie, to teść i J [redacted] na mnie z busią - co to cię obchodzi, pilnuj swego nosa. Doszło do tego, że sprzedał swoją część ziemi w Krańniku i to poszło. Szły i topniały tysiące. Gasień? Za co? Po co? Nikt się nie dowiedział i nie wie do dziś. Ratek nie spłacał. Po prostu przerabiał daty na starych wpłaconych pokwitowaniach, a pieniądze topniały. Widać było, że grunt mu się pali pod nogami. Chodził struty. Kradł co się dało, pieniądze teściowi, zegarki a nawet wkładał się do swego mieszkania i brał rzeczy by je potem sprzedać. Na koniec wziął. Ślad po nim zaginął. I wtedy właśnie były "ratki". Komornik a J [redacted] nie miał co zapisać, a u drugiego tyranta nie był bo siedział w więzieniu. Więcej za namową teścia i resztą całej rodziny wziętem tą spłatą na swoje barki. Pomocny ci potem, wylitasz się, a honor rodziny nie splami się, tak nawiali. Im zaletało na honorze. Ale gdy komornik zabrał mi telewizor, radio i dywan i miałem w ciągu tygodnia wpłacić całą należność, wówczas teściu użył rżec. Po prostu nie mam pieniędzy, nie mam ich gdzie pożyczyć. Oto jak mnie kraywadzono, jak mi dawano lekcję obojętności rodzinnej. Zadłużym się po same uszy. Komornik wzeszedł mi na pobory. Wpłaty dostawałem 47 zł. Za to miałem żyć, żona i dwoje dzieci, opłacić ratę, mieszkanie i pożyczkę w



kasie zakładowej. To już krach, kompletna ruina. Życie wydawało mi się nonsensem, tyranią. Nie mogłem znieść widoku swych głodnych dzieci, dla których brakowało mleka, chleba. To jest chyba najgorsze przeżycie. Odczuły to dzieci, a szczególnie młodsza M. Zapadła na ciężką chorobę. Musieliśmy oddać ją do szpitala. Leżała miesiąc. Dostawała dwa razy krew. Została uratowana. Wróciła do nas, do naszego życia. Myśmy z żoną nie zakumali się. Pomatu wylizaliśmy się z długów. Nauzeni życiem byliśmy na przyszłość ostrożniejsi. W stosunku do teściów nasz stosunek stał się chłodniejszy. Już z rezerwą odnosiłem się do jego zapewnień o swojej dobroci dla nas, jak on kocha swe dzieci, co by nie zrobił dla nich. Kasy jednak zostały zabliźnione. Teść mieszkał u nas. Pracował w pobliżu jako palacz co. M. wrócił z tułaczki po kilku miesiącach i życie w rodzinym kole zaczynało powoli wracać do normy. M. podjął pracę prywatnie, żona jego razem z teściem jako kucharka. Oddawali nam co miesiąc 500 zł. Nasze stosunki z nimi były chłodne. Na domiar teść pobił się z M. Został po prostu wygnany z rodziny. Wzywany od najgorszych itp. U M. mieszkała teściowa. W związku z tą bajką teść zabronił swojej żonie mieszkania u M. J. musiała zwolnić się z pracy, gdyż trójka młodych dzieci musiała mieć opiekę. M. nie mając innego wyjścia wyjechał z rodziną swoją do PGR Czelin. Lecz piętno jego życia, jego czynów stało za nim. W sądzie znali go dobrze. Komornik miał stale z nim do czynienia. Pensji praktycznie nie otrzymywali. Nasze opłaty zostały przerwane. Pozostało jeszcze ponad 2400 zł do spłacenia. Z PGR-u Czelin wyjechał do PGR-u Płotno. Tutaj mieszka do dnia dzisiejszego.

Jako brygadziста z początku miałem trudności. Brak praktyki, brak rozeznania w organizacji pracy i stanowisku stwarzały mi wiele kłopotów. Ter iny były napięte. Bywało, że pracowaliśmy 16 i 24 godziny bez przerwy. Śnięcie było ograniczone. Najgorsze



były te nocki. Profil produkcji był nowy. Wycoby były z miedzi i blachy kwasoodpornej. Należało kto wiedział jak te materiały obrabiać. Szczególnie, gdy chodzi o budowę zbiorników dla chemii. Ściągniętych 4 fachowców z innego rejonu kraju. Zostali z miejsca brygadistami i oni już prowadzili te prace. Wówczas praca nabierała rozmachu. Nasze brygady wykonywały części stalowe, tanci z metali kolorowych. W marcu 1965 roku przejąłem nową produkcję, która trwała 5 lat. Były to wciągarki zarówno samochodowe jak też samodzielne do dłuższy leśnej. W pierwszej wersji miałem wykonać 14 szt. Zgromadzono ludzi z 6 brygad, w sumie 60 ludzi. Ja tej produkcji nie znałem. Pomagał mi technolog sprowadzony specjalnie z innego zakładu - tam gdzie już wyprodukowano 4 szt prototypowe tych wciągarek. Przychodziłem o 9 rano, odchodziłem o 2-3 w nocy, i musiałem obsłużyć 3 zmiany ludzi. Uważam, że takie zgromadzenie ludzi nie daje efektów. Wydajność jest słaba. Ludzi nie upilnuje się, zawsze gdzieś któryś zawierusza się, nie wiadomo ile zrobił, jak go ocenić a potem wynagrodzić - nie ma poprostu na to czasu. Głowa pęka. To brakuje, to znów nie pasuje, tam nie wychodzi. Istne piekło. I zwykle tak bywa z prototypami. Gorzej jeszcze, gdy prototyp ma dużo błędów konstrukcyjnych. Tak było z wciągarkami. Poszły pierwsze egzemplarze w świat i niedługo przyszedły pierwsze reklamacje. Reklamacje te były wynikiem źle opracowanej konstrukcji, rozwiązań zespoł w niezgodnych z wyliczeniem mechaniki i wytrzymałości materiałów, oraz karty zmian materiałów, dających inne materiały niezgodne z normami, często gorsze, niższej jakości /no bo plan trzeba było ratować/. Część reklamacji wynikała z winy pracowników. Bo trudno jest każdego sprawdzić, czy pracuje dobrze czy źle. Inaczej musiałoby być znacznie więcej ludzi w kontroli technicznej, niż jest w obecnej chwili. Natomiast duża ilość reklamacji wynikała z winy użytkownika. Gdy ktoś pojechał od nas w delegację to opowiadał, że miał próby "kaperowania go"



że to jest złe, że to wyszło tak z Zakładu itp. Ofiarowano mi za to dobry obiad z wódką, kilkaset złotych, lub podbicie delegacji na tydzień lub dwa tygodnie. A ilu pracowników dało się namówić? Ile Zakład poniósł szkody? Takie rzeczy działy się często. "nas to nawet przywieziono wciągarkę z Koszalińskiego z zadaniem wymiany na nową. Po prostu nie chodzi i nie ciągnie - tak ocenili użytkownicy. Dopiero nasza próba ujawniła, że chciano Zakład osiągnąć. Po prostu kończyła się im gwarancja i chcieli mieć nową wciągarkę za darmo. Lecz to im się nie udało. My byliśmy strażni na tym nie tylko materialnie ale moralnie. Bo mówiło się, że źle robimy, za dużo reklamacji. Dyrekcja źle patrzyła na to. A więc nasza opinia była niezbyt dobra. Gdy skończyłem 3 serię, to znałem każdą część na pamięć, jej wymiary i materiał, gdzie i w co wchodzi, jak działa. Zostałem po prostu od wciągarek. Równoległe z wciągarkami prowadziłem i inne urządzenia. Były to urządzenia do fabryki płyt włókowych. W międzyczasie skończyłem kurs mistrzowski w zawodzie ślusarz, dostałem ósmą grupę, to jest 10,50 zł na godz. W styczniu 1966 roku urodziła się nam druga córeczka. Na imię daliśmy jej M [redacted]. Dużo kłopotów miałem z Z [redacted]. Po prostu nie chciała się uczyć. Na każdym kroku kłamała. Mówiliśmy o niej: "Z [redacted] pomyliła się bo powiedziała prawdę". Często wożano mnie do szkoły. Na okres miała 7 ocen niedostatecznych. Rodzice jej nie przejmowali się tym zbytnio. Nawet nie przyjechali na wywiadówkę. To samo dotyczyło i R [redacted]. Chodził na wagary i udawał bardzo ważnego. Nauczycielka nie miała oczywiście racji. Krowadził z nią dyskusje, starając się podważyć jej autorytet. Pozostał drugi rok w tej samej klasie.

Jak zaznaczyłem nastąpiły kłopoty z komornikiem. Ucierpiały na tym dzieci. M [redacted] musieliśmy oddać do szpitala. Dostała krew, leczenie przeciągało się. Straciliśmy nadzieję. Dostała drugi raz krew. Zaczęła powoli wracać do zdrowia. Bardzo wzięta



i słabą przywieźliśmy do domu. Długo jeszcze leczyła się. Ja musiałem oddać dla niej krew. I od tej chwili zacząłem oddawać honorowo krew i zacząłem tyć.

H [ ] i Z [ ] po skończeniu szkoły odeszli od nas. Zostali-  
śmy sami. To szczęście trwało jednak bardzo krótko, bo już w li-  
stopadzie 1966 roku zamieszkał z nami teść. Był chory na gruźli-  
cę, więc lekarz zalecił mu zmianę pracy na lżejszą. A wiadomo  
praca na roli jest bardzo ciężka. Więc na gospodarce pozostał  
mąż Z [ ] - a teść zaczął pracę jako palacz w Państwowym Domu  
Wczasów Dziecięcych. Była tam stołówka z bardzo dobrym wyżywie-  
niem no i lekka praca. Wszystko to sprawiło, że ze zrokiem było  
coraz to lepiej. Natomiast coraz to gorzej było z gospodarką.  
Nowy, młody zięć zaczął pokazywać swoje pasurki. Pobik swoją żo-  
nę, zaczął ubliżać teściowej, wyzywał ją od najgorszych itp. Go-  
spodarkę zaniedbał, nic nowego nie sprawił. Robiło to przygnę-  
biające wrażenie. Teść chodzik zły, pochmurny. Nie wiedział co  
robić. Ale musiał wrócić z powrotem na gospodarkę. Zanim jednak  
odeszedł od nas - ja wyjechałem na pół roku w delegację służbową  
do Pakistanu 4ach.

Wyjazd nastąpił po 7 miesiącach od chwili złożenia wszel-  
kich potrzebnych papierów. Przygotowania ukończyliśmy również  
szybko i pozostało tylko czekać na wyjazd. Czas mijał a tu nic.  
Nastąpiła potem czerwcową agresją Izraela. Ludzie z pracy popie-  
rali kraje arabskie, przeklinając Żydów za ich awanturniczą po-  
litykę. Oczekiwałem szybkiego zakończenia działań wojennych,  
gdyż nasza podróż miała przebiegać właśnie przez Bejrut, Kair.

27 listopada wyjechałem do Warszawy w celu załatwienia  
formalności. Trwało to dwa dni. 29 listopada wsiedliśmy do sa-  
molotu LOTU-13-18. I tak opuściłem Polskę. Pierwszym lądowaniem  
był port lotniczy w Atenach. Tutaj przywitała nas piękna pogoda  
i temp. powyżej 20°C, co przy -10° i śniegu wydawało się rajem.



Taki kontrast pozostaje długo w pamięci. Mimo, że lotowanie a raczej pobyt w transzycie trwał 40 minut - miałem swoje pierwsze wrażenia z tej strefy świata. Nowa oczywiście o strefie kapitalistycznej. Spostrzegłem dużo biedoty walczącej się po porcie, bez specjalnego celu. Wszędzie ruch gorączkowy. Nas pasażerów obsługiwano z wyjątkową grzesznością i szybkością, czego nie można powiedzieć o obsłudze w jej kraju. Widać twardą ręką tamtejszych rządów. Wzrost wojskowych, policji i służby porządkowej, kręcących się tu i tam. Inne wrażenie pozostawił Bejrut. Barażo późną nocą wylądowaliśmy na bejrudzkiem airporcie. Mimo to szybko odprawiono nas do poszkalni transzytu. Grzeszność, szybkość obsługi. Zaprowadzono nas od razu do pomieszczeń handlowych, by można było coś kupić. Sama obsługa wprawiała w zachwyt, no bo jakże nie być zadowolonym, gdy w jednym stoisku kupiło się wszystko. Lecz i tu pobyt trwał bardzo krótko z racji naszego opóźnienia w starcie z Warszawy. Przed nam była Afryka, a celem Kair. Ciekawe jak tam będzie. Było to pierwsze miasto poza granicami kraju gdzie będziemy mogli wyjść na dzuszej. Będziemy tu dwa dni. Już w pierwszej chwili zauważyłem że kontrola paszportowa jest szczególnie ostro. Nic dalszego. Przecież to kraj w pogotowiu wojennym. Mimo to gdy celnicy dowiedzieli się, że my Polacy, to żadnych trudności nam nie robili. Nie znając języka wywnioskowali, że my im jesteśmy przyjacielami. Samo miasto jest piękne, chociaż są duże kontrasty. Wszędzie widać murki z cegieł lub z worków z piaskiem, służących jako ochronną od kół. U każdego panuje głęboka nienawiść do Izraela, za poniesione krzywdy, upokorzenia, za gwałt, za najazd na ich kraj. Sami ludzie to bardzo ciekawy naród. Bardzo sympatyczni, usłużni i grzeszni.

Proszę mi wybaczyć, że piszę to w skrócie telegraficznym, ale nie chcę się rozpisywać. Mimo tego dokonam porównań między obozem socjalistycznym a obozem kapitalistycznym. Dokonałem swoje



oceny, co o tym sądzić. 2 grudnia wylądowaliśmy w ~~Karachi~~ Karachi. To już inny świat niż nasz. Much lewostronny. Wszędzie widać biedotę, mężczyźni w środku nocy wałęsają się bez wiadomego celu. Wiadomo - to bezdomni i bezrobotni. Droga prowadząca z lotniska do centrum upstrzona różnymi tablicami reklamującymi różne produkty. Przy wieszakach jednak pasta do zębów. Przy szosie obok ładnych domów przycupnięte chatki z trzciny i bambusa, okryte papirusami lub kawałkiem podartego płótna. Mimo to widać się zatknięty sztandar narodowy, co świadczy o dużym patriotyzmie danego Pakistańczyka. I znów obsługa. Wszędzie widać troskę o klienta. Mimo zabiegów grzecznościowych widać że to wszystko za pieniądze, za darmo nie za nic. Za pieniądze można kupić materiał ludzką siłę, kobiety, słowem wszystko. Tutaj rządzi pieniądź. Nic dziwnego, że bank stoi obok banku. Rywalizacja na każdym kroku. Tutaj nasi handlowcy powinni pobierać naukę, by potem chociaż w części u nas wyprodukować. Oczywiście w zdobywaniu klienta, w oferowaniu mu odpowiedniego materiału, wyrobu. Przejdź teraz do losu ludzi pracy, bo tacy mnie interesują. Są ich miliony. W większości są bez pracy, bez żadnych zapomóg czy świadczeń lekarskich. Ci wzięci prosto z bruku zarabiają bardzo mało. Na co im to wystarcza? Na placek i świerć pomarańczy oraz parę sztuk papierosów najgorzejszego gatunku np. "nr 1". Ludzie ci nie znają co to jest urlop i dziwili się, że u nas taki urlop istnieje. Nie mają opieki lekarskiej. W ogóle lekarze i lekarstwa są tu bardzo drogie. W trakcie rozmowy z nimi dowiedziałem się, że żyją po kilku w jednym domu. Dom taki był dla nich czymś nadzwyczajnym, mimo, że to były po prostu 4 słupki bambusowe i liście palmy służące za dach. Ale to już byli posiadacze domów. Gdy im pokazałem zdjęcia naszych dzieci, nieczkań, gdy powiedzieliśmy im, że mamy urlopy, wszyscy pracę i naukę za darmo jak również lekarzy za darmo i lekarstwa za które płaci się



tylko 1/3 wartości, że w soboty robimy 6 godzin, że u nas nie ma takich Osmanów, jak ten właściciel dla którego pracowali i który ich wyzyskuje, że u nas są wszyscy sobie równi, że u nas z najbiedniejszej rodziny może zostać dyrektorem, ministrem czy prezydentem to kiwali głowami i po prostu nie wierzyli. Mówili, macie dobrze, dobrze żyjecie, ale komunizm jest niedobry. Oto co z nich zrobiła oszczędna propaganda kapitalizmu, ich księża i wiara. Te trzy czynniki prowadzą nagonkę na ustrój Socjalistyczny. Inaczej trudno by było utrzymać te miliony ludzi, którzy na tle ~~zabiegów~~ religijnym gotowi są do największych poświęceń i właśnie tą wiarą wykorzystuje się do egoistycznych celów.

Jak traktuje się tych ludzi opowie nam jeden przypadek. W trakcie pracy wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Element maszynowy ważący 3 tony ostrą krawędzią spadł na nogę jednego z tutejszych ludzi. Noga prawa została w trzech miejscach połamana i wisiała po prostu na strzępach ciała. Widok był okropny. Chorego trzeba było jak najszybciej odwieźć do szpitala, tymbarzniej, że sam fabrykant miał "Toyota". Lecz o dziw nie zezwolił, aby chorego włożono do jego samochodu i nie miał wcale zamiaru wieźć go do szpitala. Pokrwawiłby mu siedzenie. To już zakrawa na najgorsze. Człowiek, który nie ma serca, brak mu odrobiny humanitarysty. Czekano z chorym pół godziny, aż tą drogą przejeżdżała ciężarówka z piaskiem i wrzucono go na nią jak worek cementu. Dopiero pojechał Osman dał 100 rupi dla chorego. Amputowano mu nogę. Operacja kosztowała 30 rupi. I ten człowiek więcej nie otrzymał. Kostal zwolniony z pracy, bez żadnych środków do życia. Co mu zostało? Po prostu żebractwo, które w Pakistanie jest bardzo rozpowszechnione. Tu młode dzieci przeznaczone na żebraków przechodzą wstrząsające katjusze. Wykrzywia się im nogi, ręce, im większe zniekształcenia tym lepiej, więcej prawdopodobnie zarobią. To jest wstrząsające, nie dające się opisać.



Dziś mi nikt nie powie, że w kapitalizmie dobrze się żyje, że pieniądze leżą na ulicy, że tylko ja brać. Ja tam w takie bajeczki nie uwierzę. Byłem, widziałem i oceniałem. Dobrze żyje się bogatym, mającym duże konta bankowe, fabryki czy inne źródła dochodowe. Ci mogą sobie pozwolić na wily w ekskluzywnej dzielnicy, kilka samochodów, dużo służby i w ogóle, luksusowe urządzenie i łatwe życie. Natomiast podstawowa grupa ludzi żyje w ciągłym strachu o pracę, o swój byt. A co mają powiedzieć bezrobotni? Co im pozostało? Z czego żyć? Gdzie mieszkać? Dobrze, że to tropik, że nie ma zimy, opadów śniegu i mrozu. A co by było gdyby to była strefa umiarkowana? Czy wówczas mogliby tak spać na chodnikach? Oto co w spuściznie kapitalizmu tym krajom dał, do czego doprowadził kolonializm. Tym bardziej uznaję te kraje, które walczą o swoją wolność, o wyzwolenie swego kraju i bardzo gorąco je popieram. Wierzę, że czarny czy bółty to taki sam człowiek jak ja, więc powinien mieć pracę, opiekę, lekarską, powinien cieszyć się życiem, wychowywać swe dzieci w dostatku i spokoju, bez wojen, strachu i głodu, powinien budować swoje życie z radością bez wyzysku, powinien być jak człowiek. A muszę dodać, że w kapitalizmie tak nie jest. I dziwię się tym, którzy za wszelką cenę chcą uciekać za granicę. Może ulegli "jadaczkom" Wolnej Europy, "rajskie życie" na Zachodzie. Ale gdy znajdują się już tam przejrzą na oczy. Nic dziwnego, że wracają spowrotem jak baranki, że knaszą w oczach i proszą o przebaczenie. Czyli jeden wniosek z przysłowiem narodowym, że zawsze najlepiej w domu. Tak samo i ja myślę. Dla mnie najlepiej będzie w Polsce, wśród swych dzieci, rodziny, kolegów i sąsiadów i dlatego po paru miesiącach wielka tęsknota gnęła mnie do kraju, do polskiej mowy, do ludzi, tam gdzie tyle przeżyłem, ale jakoś najlepiej przeżyłem. I nie dziwnego, że gdy 5 maja 1968 roku wsiadłem do samolotu - odetchnąłem i chciało mi się już być tam w kraju. Na to musiałem czekać



3 dni. To były potwornie długie dni. minuty wlokły się jak masy w smole. I mimo różnych ciekawostek obserwowania innych obyczajów czas przysnął bardzo wolno. I wreszcie Bejrut. Cielot polskiego samolotu IL-18. Pierwsze dzień dobry Panu - które usłyszałem wchodząc do naszego samolotu, wypowiedziane przez piękną uśmiechniętą polską stewardesę. To już Ojczyzna, jestem po prostu w domu. Ta chwila oczekiwana tak długo - nadeszła.

Przywitanie w domu rodzinnym było inne niż sobie wyobrażałem. I [ ] - córka 4 letnia puściła mi się na szyję i długo nie chciała mnie puścić. To nie, że czekała na przywitanie siostra, szwagier, szwagierka i żony siostra. I [ ] miała swojego tatusia. Ale może o tatusia tak nie oodziło, co o lalkę z Pakistancu, o którą nieśmiało dopytywała się. Trzeba przyznać, że i z lali byłaadowolona. Natomiast m. osoba nie poznała mnie. Odsuwała się ode mnie ze strachem i z płaczem.

Pierwsze dni to aklimatyzacja, którą przeszedłem gorzej niż w Pakistanie. Kłopoty żołądkowe dawały mi się we snaki. Również ze spaniem miałem kłopoty. Muszę dodać, że czas w Pakistanie był o 4 godziny szybszy. Organizm nauczony do wstawania o 7 rano - budził się o normalnej porze, ale w Polsce były godzina 5. Wieczorem przechodziłem istne katusze. Już o 19 byłem bardzo śpiący, a co mówić o 20, 21, 22 godzinie? Nic dziwnego, że w tym okresie organizm mój przeszedł wielką, "reorganizację", zarówno w jedzeniu, spania jak również w temperaturze. Było mi strasznie zimno. Nic dziwnego było 9-12°C w dzień, co przy 40°C w Pakistanie była to kolosalna różnica.

Po przyjeździe nastąpił najazd rodziny. Przyjechał teść z żoną, Z [ ], R [ ] z żoną, J [ ] i M [ ]. Opowiadaniem nie było końca: jak tam jest, czy kobiety chodzą zakryte, czy to prawda, że śpią na ulicy itp. Odjeżdżali z zawieszonymi minami. Spodziewali się dużych prezentów, a otrzymali tylko drobne prezenty.



Byli źli. Uwaga wszystkich lokatorów skupiała się na nas. Z zawiści wymieniali przedmioty, które ja przywiozłem. A wiedzieli dokładnie bo im powiedziała M. [REDAKTOWANE], która skorzystała z naszej nieobecności i wespół z sąsiadką przetrząsnęła nam rzeczy. Przy okazji zginęły pończochy i biała koszula nylonowa.

Wróć do sprawy M. [REDAKTOWANE]. Mieszkała dalej w naszym domu, ale już nie sama. Miała kochanka. Mieszkało z nią dziecko. Nie wystrzegając się nic przed dzieckiem wyprawiali orgie, bili się itp. Dziecko to było nerwowe i stale się czegoś bało. Na nasze uwagi odpowiadała, że co nas to obchodzi. Nasze przyjacielskie współzycie zaczęło się psuć. Wkradła się nienawiść i złość. I jak to zwykle bywa atmosfera w domu stała się nie do zniesienia. Stan taki trwał do grudnia, a więc 6 miesięcy. Potem M. [REDAKTOWANE] z kochankiem przeniesiono do drugiego domu, do hotelu. Dostali 1 pokój, a pozostałe dwa pokoje zajmowali chłopaki. Oczywiście były bujki, awantury i kłótnie. Komisja z Zakładu interweniowała bardzo często. Groziło jej nawet zwolnienie z pracy. Nie mogła pogodzić się z ludźmi. Chwilami wydawało się, że to wariatka i że dlatego jeszcze chodzi na wolności, że dlatego nie jest odseparowana od otoczenia, bo jej zachowanie dawało pewność, że niechybnie coś złego zrobi. Mieszka w tym domu do dnia dzisiejszego.

Po tej delegacji podupadłem na zdrowiu. Zaczęła niedomagać wątroba. Cozy zepsułłem w 30 A. Gdy tylko było słońce musiałem nosić ochronne okulary. Dostałem wstępnego stadium zapalenia spojówek. A więc przygoda i poznanie życia kosztowały mnie drogo. Na domiar rodzina zaczęła na mnie patrzeć złowrogo. Po prostu dawali mi do zrozumienia, żebym do nich nie przyjeżdżał. Wiele się tym nie przejmowałem. Zacząłem trzymać koleżeńską sztanę z jedną rodziną z bloków. To była rodzina wyrozumiała. Nie patrzyła aż coś otrzymają. Były zasady: dobre twoje, dobre i moje. Do dnia dzisiejszego żyjemy z nimi w dobrej przyjaźni, dzieląc się nieraz



ostatkiem chleba czy kwałkiem innego artykułu spożywczego.

Pokupiłem sobie wędki i sprzęt rybacki, wykupiłem kartę wędkarską i wszystkie wolne chwile, czy urlop spędzałem z żoną i dziećmi nad jeziorem. Bywało, że nic nie złapałem, nieraz parę plotek czy okonków. Ale za to smakowały wybornie. A najważniejsze to, że człowiek odpoczywał, zapatrzony w spławik zapominał o wszystkich sprawach nartujących go i tylko wpatrzonego w spławik czekał, aż ryba weźmie. A gdy spławik drgnął unosił momentalnie reagował. Gdy chwyciła większą sztuką to była prawdziwa przygoda. Gdy brak szczupak człowiek robił się podniecony - jaki też on duży. Potem pozostawała tylko walka z nim. Mimo deszczów i zimna, o 2 lub 3 w nocy wstawała się i jechało na ryby. Od początku kwietnia, do końca listopada, w każdą niedzielę "rybaczyko" się. Nie byżoniedziel, ażeby być w domu o godzinach rannych. Żona krzyczała na mnie. Nie wiem czy wszystkie żony rybaków - wędkarzy tak reagują? Tych co znam mieli stale kłopoty i musieli nieraz dokonywać cudów, ażeby udobruchać swoje żony. Latem i w czasie urlopu jechaliśmy z całą rodziną nad jezioro. I muszę dodać, że żonę to pociągało. Brała jedną wędkę i łapała. Bywało, że złapała więcej niż ja. Tylko miała kłopoty ze zdejmowaniem. Ale starsza córka nie bała się i tymi małymi rączkami chwyciła rybę a następnie zdejmowała z haczyka. Najlepiej było gdy spaliśmy w namiotach. To dla dzieci raj. Żona i dzieci najlepiej lubiały świeże upieczone rybki, pachnące jasnym dymem z ogniska. No bo właśnie ja wstawałem skoro świt, złapałem ryb, oczyściłem i usmażyłem, a następnie robiłem potudkę. Dla urozmaicenia robiłem sobie szaszłyk z kiełbasy i pieczone kartofle. Kto nie jadł tego w letni dzień, w ciepłe, pod drzewami ten nie zna tej przyjemności. Niezapomniane wrażenie pozostawiają wieczory przy ognisku. Dzieci nie chcą iść spać. Bawią się, a woda zwykle przy zachodzie słońca jest bardzo ciepła, więc nic dziwnego, że trudno jest je stamtąd wydestać. W odległości 300 m płynie rzeka Flonia.



Gdy nie wyjeżdżaliśmy nigdzie, z braku transportu, to chłodziliśmy się nad rzeką.

Stosunki rodzinne nie uległy zmianie. Jeździłem do teściów. Wiedziałem, że jestem im obojętny, ale nie rezygnowałem. I ta idylla trwa do dziś. Tylko dla dzieci, ażeby miały, ażeby widziały działków, nie pozwala mi na całkowitą separację.

Trzeci pokój otrzymałem. Teraz jest u nas spokojnie. Życie jakby się unormowało. Pozostała tylko ludzka nienawiść. Nie mogli przeboleć, że dostałem ten trzeci pokój. Robią wyzeczenia, ażeby nie być gorszymi. Muszą mieć to samo. I nieraz dziwią się im. Ludzie robią się skryci, samolubni. Po prostu stroną jedni od drugich. Każdy zamyka się w swoim mieszkaniu i oddaje się swoim myślom. W domu rodzinnym było inaczej. Zawsze ktoś przychodził, odwiedzał. Były mowy o stratach, które nam młodym dzieciom napędzały tyle lęku. Były opowiadania o różnych wojnach, przesłuchaniach, walkach na szable itp. Krew w żyłach mroziły opowieści o doznanym cierpieniach w obozach zagłady. Jakże tak mogło być? Ale dziś rozumiem. To samo dziś dzieje się w Wietnamie. Nie powinien świat dopuścić do tragedii takich jak w My Loi. To już barbarzyństwo. Za to powinno karać się najwyższą karą. Albo problem uchodźców palestyńskich! Co ci ludzie są winni, że muszą tak cierpieć? Toż to ta sama metoda, którą stworzył Hitler.

Innym problemem w naszej oświacie jest pijarstwo. Są dwa miejsca, gdzie amatorzy mogą raczyć się piwem lub alkoholem. Motel Relax i prywatna jadłodajnia. Widzi się stale tych samych mężczyzn. Przesiadują godzinami i piją. Dochodzi do tego, że niektórzy encieliby nie iść tam. Jednak jakaś siła wewnętrzna ciągnie ich. Nie potrafią się oprzeć. To już alkoholicy. Dzieci ich są głodne, źle ubrane. Brak pieniędzy. Za to na piwo muszą iść. To właśnie nasz problem narodowy. Ale wygrać z tym jest trudno. Powinno ograniczać się sprzedaż piwa, lub tylko sprzedawać do



obiadu, z jakąś zakąską. Powinno częściej się kontrolować i sprzedawców nieprzesztrzegających przepisów, karać wysokimi grzywnami. Inaczej nie zrobimy.

Zauważyłem, że coraz więcej ludzi zaczyna dokształcać się. Tak samo jest i ze mną. Chodzę znowu do technikum mechanicznego na V semestr. To bardzo ciężko, ale trudno. W dzisiejszej dobie nie wolno pozostawać w tyle. Trzeba iść naprzód, zdobywać wiedzę. I dzieś w Polsce uszłego się tatuśia ze swoimi dziećmi można spotkać wszędzie. To dobry widok.

Chciałbym opisać swoją miejscowość. Jest oddalona 17 km od Szczecina na trasie do Poznania i Starogardu. Jest to osada robotnicza. 8 lat temu była zaniedbana, pełno gruzów. Dziś gruzów nie ma. Rozbudowuje się. Powstają nowe Zakłady, rosną domy. Dziś to już małe miasteczko. Tylko kłopotów dużo. Komunikacja kiepska, zaopatrzenie słabe, a ludzi przybywa. GS musi coś zrobić, bo na dłuższą metę może być tragicznie. Udy moja matka przyjechała w tym roku i wysiadła z PKS-u nie poznała tej miejscowości. I dobrze, że byłem na przystanku, bo inaczej miałaby trudności z odszukaniem mojego domu.

Dziś gdy ktoś przyjeżdża z centralnej Polski - to inaczej patrzy. Już nie mówi, że tu Niemcy wrócą. Mówi, że dobrze się tam żyje. I chciałby tu przyjechać na stałe. Tylko teraz trudno tu z mieszkaniem. Więc odjeżdża smutny i mówi "szkoda, że dawniej nie osiadłem tutaj". Dziś na starsze lata nie chce się już przeprowadzki. Ja wrostem w tę ziemię. Po czasyem zmianach zamieszkania za kawalerskich lat, dziś po prostu nie mogą pojąć, po co się przeprowadzać. Mnie tu jest dobrze. I tu odduję, tu przyczyniam się do budowy lepszej, ładniejszej, piękniejszej naszej Ojczyzny.